PL ISSN
0208 — 5968
Nr indeksu 35657

DUNAJEC

TYGODNIK PZPR

Nr 34 (355) Rok VIII Nowy Sącz, 23 sierpnia 1987 r. Cena 20 zł

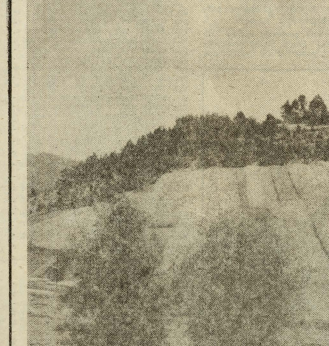

Fot. JERZY ŻAK

Elżbieta Glinka

Kasinka, rok 1937

Franciszek Widzisz smagnął konia. Trzeba wysunąć się przed gromadę, coraz liczniejszą, coraz groźniejszą. Pogadać z policjantami idącymi tyralierą na kasincanki Ale nie sposób powstrzymać żywioł ludzkiego wzburzenia. Krzyki, zamieszanie... Strzały. Widzisz spada z konia. — *Ten obraz ciągle wraca do mnie żywy, wyraźny, jak zwolniony film: huk broni i prezes osuwa się na ziemię* — wspomina sołtys Kasinki Małej, Władysław Szczypka. — *Ogromnie się wystraszyłem. Z płaczem pobiegłem do matki. Niewiele, ja jedenastoletek, mogłem zrozumieć z tego, co się we wsi działo, ale odczuwałem grozę.*

*

Lata trzydzieste trudne były dla Polski: kryzys polityczny i gospodarczy nie znajdował rozwiązania, ludzkiem żyło się coraz gorzej. A chyba najciężej biednym górskim wioskom. Spośród 18 milionów polskich chłopów — 2 miliony 400 tysięcy to byli bezrolni; z tego aż milion 700 tysięcy w Małopolsce. Bezrolni — a więc zbędni, a więc ludzie, dla których brakowało zajęcia i gęby, które wołały o chleb — *Straszne zło się zrobiło i dla robotni-*

(CIĄG DALSZY NA STR. 4—5)

Nowy Targ ma kłopoty z wodą od kilku lat. W lipcu do sieci wodociągowej przedostały się robaki, które bywają nosicielami czerwonki i duru brzusznego. Tylko dzięki wysiłkowi wielu ludzi uniknięto nieszczęścia. Teraz trzeba wyjaśnić, jak doszło do zagrożenia zdrowia mieszkańców stolicy Podhala i co należy uczynić, by gruntownie sytuację zmienić.

Miejska Komisja Kontrolno-Rewizyjna PZPR powołała dwa zespoły, które zbadały funkcjonowanie Terenowej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej w Nowym Targu oraz Rejonowego Przedsiębiorstwa Wodociągów i Kanalizacji. W oparciu o ustalenia tych zespołów zamierzano podjąć decyzje personalne wobec winnych. Okazało się wszakże, iż wpierw należy rozwikłać wiele kwestii szczegółowych w obecności dyrektora RPWiK i szefa miejscowego Sanepidu. Rozmowa trwała długo, lecz mimo to przewodnicząca zespołu orzekającego, towarzyszka **Barbara Adamska**, musiała uznać, że sprawa odpowiedzialności wciąż jeszcze jest niejasna. Członkowie zespołu zdają sobie sprawę, że społeczeństwo oczekuje surowego ukarania winnych. Towarzysz **Ludwik Szader** powiedział wręcz, że ludzie podejrzewają, iż *skończy się znów na wyciągnięciu konsekwencji wobec jakiegoś szefa*. Dlatego nie może być mowy o tuszowaniu winy. Postanowiono dochodzenie kontynuować — i to zarówno w Nowym Targu, jak i na forum Wojewódzkiej Komisji Kontrolno-Rewizyjnej PZPR, która powołała w tym celu zespół orzekający pod przewodnictwem **Ryszarda Barnicky**.

Spróbuję przedstawić Czytelnikom splot okoliczności, które powodują, że sprawa nowotarska wymaga aż tak gruntownego zbadania. Spróbuję to zrobić, ponieważ kumulacja zaniedbań w tej sprawie powinna stać się sygnałem alarmowym dla innych miast. Zaś wnioski, jakie partia wyciągnie z lekcji nowotarskiej, mogą posłużyć za precedens dla instancji, które dojrzały do tego, by zrzucić białe rękawiczki w oczekiwanej nas rozprawie z niefrasobliwością wobec środowiska naturalnego.

*

W latach pięćdziesiątych zbudowano w Szaflarach Stację Uzdatniania Wody. Nowy Targ liczył wówczas 15 tysięcy mieszkańców (dziś dwukrotnie więcej). Biały Dunajec miał wodę I klasy czystości (dziś nie mieści się w żadnej klasie).

Jakość wody dostarczanej do Nowego Targu przez Stację Uzdatniania w Szaflarach bada Terenowa Stacja Sanitarno-Epidemiologiczna. Od kilku lat TSS-E sygnalizuje wojewodzie, Wydziałowi Ochrony Środowiska i Wojewódzkiemu Inspektoratowi Sanitarnemu, że rzeka Biały Dunajec jest zatruwana przez ścieki Zakopanego i niżej położone miejscowości. Od roku 1983 TSS-E śle pisma ostrzegające, że rośnie zagrożenie epidemiologiczne, że pojawiają się w Białym Dunajcu bakterie kałowe, że konieczne jest przyspieszenie budowy oczyszczalni ścieków w Zakopanem, że trzeba uregulować gospodarkę ściekową powyżej Nowego Targu.

Kopie tych pism otrzymują naczelnicy Zakopanego i Nowego Targu, naczelnik gminy Biały Dunajec, prokuratorzy. Zespół badający pracę TSS-E nie znalazł żadnej pisemnej odpowiedzi na te sygnały.

Z ksiądz Stacja Uzdatniania w Szaflarach, podlegająca Rejonowemu Przedsiębiorstwu Wodociągów i Kanalizacji w Nowym Targu (dla którego organem założycielskim, a więc i zwierzchnikiem, jest Wojewoda) pobiera co raz brudniejszą wodę z Białego Dunajca i ma obowiązek tak ją oczyścić, by nadawała się do picia. Instrukcja mówi, że kierownik SUW jest zobowiązany utrzymać urządzenia i maszyny w odpowiednim stanie oraz zapewnić właściwą jakość wody i technologię oczyszczania. Instrukcja nie określa, jak często należy wymieniać filtry i — oczywiście — nie precyzuje, jak pogodzić jakość z ilością.

Zespół badający pracę SUW stwierdził, że **w roku bieżącym nie było tam żadnej kontroli wewnętrznej, zaś Urząd Wojewódzki nie kontrolował Stacji Uzdatniania od dwóch lat.**

Komitet Miejski partii ustalił w trakcie lipcowego zagrożenia, że Stacja w Szaflarach jest zaniedbana, spiętrzenie wody — od czasu wiosennej powodzi — zamułone, nie wymienione piaski na filtrach, betonowe obudowy filtrów — popękane, brak odpowiedniego piasku filtracyjnego. Wskazano też ogniska wylęgu robaków: zlewnia mleka w Szaflarach.

Na tym etapie dochodzeń sprawa odpowiedzialności nie wydaje się zbyt skomplikowana. Dyrektor RPWiK (pełni tę funkcję od roku 1985, pomoże mu urlop przed lipcową awarią, nie zastępcy do spraw eksploatacji urządzeń) przyznaje, że po majowej powodzi wymieniono tylko jeden z czterech filtrów, że w momencie awarii brakowało odpowiedniego piasku, że instrukcja nie określa częstości wymiany żwiru. Ale równocześnie wytacza sporo argumentów na swoją obronę: Stacja w Szaflarach dawała zgodnie z zadaniem 6 tys. metrów sześciennych wody pitnej wówczas, gdy Biały Dunajec był czyściejszy, a miasto — mniejsze. Dziś nie da się tego osiągnąć. Nowy Targ jest jednym miastem bez ujęcia zwartego. Konieczna akcja się — dawno planowana — rozbudowa Stacji. Konieczne jest też sięgnięcie po nowe technologie oczyszczania wody. W tym celu zwrócono się do odpowiedniego instytutu naukowego, który zaprojektował już zastosowanie w Szaflarach złoża piaskowo-antracytowego, które będzie skuteczniejsze.

Spytany, czy może z ręką na sercu zapewnić, że dopilnował przed urlopem wszystkiego, dyrektor stanowczo stwierdza, że tak. Jest przekonany, że ujęcie wody dla Nowego Targu zaleciutunnie zlokalizowane na Białym Dunajcu, ignorując fakt, że wówczas w Zakopanem były sanatoria przeciwgruźlicze, stwarzając oczywiste zagrożenie, zaś później nastąpił gwałtowny rozwój turystyki i budownictwa na zharmonizowany z budową urządzeń służących ochronie środowiska. Terenowa Stacja Sanitarno-Epidemiologiczna w Zakopanem — oświadcza dyrektor RPWiK — nie odpowiada na żadne pisma, nie informuje nigdy nawet o zatruciach rzek i potoków na swym terenie. A już na skandal zakrawa to, że 28 lipca — a więc w trakcie usuwania awarii — zlewnia mleka w Szaflarach wyłączyła swoją oczyszczalnię i dokonała bezpośredniego zrzutu ścieków do rzeki!

(CIĄG DALSZY NA STR. 3)

ADAM OGORZAŁEK

Kto zawinił?

(CIĄG DALSZY ZE STR. 1)

ADAM OGORZAŁEK

Kto zawinił?

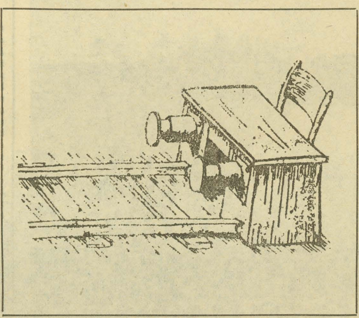

To rzeczywiście zdumiewająca wiadomość i dziwić się trzeba, że natychmiast nie przekazano jej do Prokuratury...

Winowajców — na tym etapie rozważań — jakby więcej. Ale tow. Czesław **Dudek** z WKK-R ma do dyrektora RPWiK istotne pytania:

— Co stało na przeszkodzie, by to wszystko co zrobiono po awarii, zostało zrobione wcześniej? Może należało oczyścić więcej filtrów? Może właściwe wydziały Urzędu Wojewódzkiego powinny mocniej kontrolować RPWiK? Czy nie narzuca się tutaj wniosek, że trzeba pilnie doprowadzić do koordynacji działań naczelników Zakopanego, Białego Dunajca i Nowego Targu?

A tow. **Ryszard Barucha** uzupełnia ten ostatni postulat:

— Sprawa wody pitnej dla Nowego Targu ściśle wiąże się z kwestią oczyszczalni. Nawet, gdy buduje się niewielki wodociąg wiejski, trzeba stawiać warunek, żeby powstała równocześnie oczyszczalnia ścieków. Trzeba interesować się i tym, gdzie wywozi się zawartość szamb. Jak to jest, że Sanepid nie uczestniczy przy odbiorze nowych domów? Powiedzmy też otwarcie, że przy okazji akcji „Posesja" odbywa się masowe przemieszczanie śmieci z jednego miejsca w inne: w stronę rzek i potoków. Bez łącznego traktowania tych spraw nie zatrzymamy procesu degradacji środowiska naturalnego.

*

Wciąż poszerza się krąg współwinnych. Wiadomo. z jakimi oporami przebiega na Podhalu lokalizacja wysypisk śmieci. Wiadomo, jak opieszale powstaje od lat zakopiańska oczyszczalnia ścieków. A przecież żyjemy w systemie naczyń połączonych. Mazut z piekarni, gnojowica z gospodarstw, nawozy sztuczne z pól — kropla do kropli — wszystko trafia do Dunajca. A garbarnie i kuśniernie? Kto wyraża zgodę na ich uruchamianie bez urządzeń oczyszczających? Przecież nie złośliwe krasnoludki, lecz naczelnicy i inspektorzy? A mandaty — ileż się ich wlepia, na jakie kwoty? Ile spraw za niszczenie środowiska trafia do sądu? Tyle co kot napłakał...

O głos prosi naczelnik Nowego Targu, **Stanisław Ślimak.** Odsłania trochę nowych faktów. Od kogo Urząd Miasta dowiedział się o robakach w sieci wodociągowej? Otóż nie od służb specjalistycznych, lecz od mieszkańców, którzy telefonowali do Urzędu. Czy w Stacji Uzdatniania wszystko było jak należy? Otóż nie całkiem: tylko jeden filtr wymieniony po powodzi; brakowało piasku, który pożyczono z Nowego Sącza już po stwierdzeniu zagrożenia; w trakcie usuwania awarii SUW zmobilizował 13 swych pracowników, ale na nocnych zmianach znacznie ta ilość topniała, nie było też widać wsparcia innych stacji uzdatniania (podległych nowotarskiemu RPWiK-owi!). Ofiarnie pomagał Zakład Transportu Mleczarskiego dając po godzinie 14 swoje samochody do rozwożenia wody, natomiast w zakopiańskim MPGK trudno się było doprosić o jeden beczkowóz. Nie zawiedli strażacy i junacy z Obrony Cywilnej pod dowództwem ppłk. **Romana Sukalskiego,** którzy poszli czyścić teren, na którym wylęgało się robactwo. Kosili trawę, wyciągali łby baranie i inne świństwo ładowane do Białego Dunajca w sąsiedniej gminie. Robili to za innych, usuwali skutki niefrasobliwości i głupoty.

Mógłby dzisiaj ktoś powiedzieć: cóż takiego stało się w Nowym Targu? Woda już jest, miejsca zagnojone oczyszczono. Ale nie zapominajmy, że nad miastem wisiała poważna groźba, było tutaj dwa tysiące dzieci na koloniach, był szpital... Nie odkładajmy sprawy wody znów na odległe lata. Ujęcie na rzece Białce to kwestia przyszłości. Dziś trzeba wiercić kolejne studnie głębinowe (obecnie jest ich 49 i prawie wszystkie zostały w tym roku pogłębione); są projektanci i wykonawcy gotowi doprowadzić to zadanie do końca w ciągu pół roku. Kilka dużych zakładów pracy — zdopingowanych przez Urząd Miasta — zbudowało własne studnie. Dziwi wszystkich, że **PKS od kilku miesięcy czekać musi na zatwierdzenie do użytku dwóch wykonanych u siebie studni.** Czy ta biurokratyczna procedura nie mogłaby ulec przyspieszeniu?

Zakończył naczelnik pytaniem skierowanym do wszystkich: — *czy sami zrobiliśmy, co do nas należało i czy inni zrobili to samo? Jak to się stało, że dzisiaj woda w kranach jest o wiele czyściejsza niż przez kilka ostatnich lat?*

*

I sekretarz Komitetu Miejskiego partii, **Leszek Koperniak:**

— Największą pretensję mamy do Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej, ponieważ nie spełniła ona roli koordynatora, nie potrafiła wyegzekwować przestrzegania prawa w Zakopanem i w gminie Biały Dunajec, nie zdołała tego zrobić nawet wobec swojej własnej stacji terenowej w Zakopanem.

Również RPWiK postępował według zasady „jakoś to będzie". Ani stan zbiornika w Szaflarach, ani troska o filtry, ani zaangażowanie w chwili awarii — nie mogą zadowolić. Zaś sprawa odbioru owych dwóch studni PKS, przewlekana w Nowym Sączu, musi być szybko wyjaśniona.

Za długo — od 10 lat — trwają dyskusje nad tym, skąd brać wodę dla Nowego Targu. Trzeba skończyć dywagacje na temat koncepcji i zdecydować się wreszcie na rozwiązanie optymalne. Stawiamy sprawę ostro, by nie doszło do tragedii.

*

Polemiczny charakter miała wypowiedź sekretarza POP w RPWiK. który — solidarnie z dyrektorem — uważa, iż przedsiębiorstwo należycie wykonuje swe obowiązki. Sekretarz wini władze (że mało stanowcze), sąsiadów (*„na ujęciu dostajemy gnój, a podajemy do miasta jednak wodę pitną"*), województwo (*„ktoś w Sączu chce zniszczyć naszego dyrektora i RPWiK"*). Mówca tak się zagalopował, że zgłosił nawet postulat, by w Nowym Targu utworzyć Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Wodociągów (choć brakuje tam fachowców dla lokalnego RPWiK!).

Również szef nowotarskiego Sanepidu nie jest skłonny do samokrytycyzmu. Argumentem przemawiającym za tym, że zrobiono wszystko co możliwe, miało być pismo z kwietnia 1985 roku posłane do Wydziału Ochrony Środowiska UW, w którym prosi się o zwrócenie uwagi na gospodarkę ściekową w gminie Biały Dunajec, informuje się o systematycznym pogarszaniu się czystości rzek i kładzie się nacisk na konieczność zbudowania oczyszczalni ścieków w Zakopanem.

Sanepid ma absolutną rację w pismach, jakie rozsyła. Pod tym względem dystansuje całą konkurencję. Ale sygnalizowanie zagrożeń nie wystarczy. To robią wszystkie instytucje asekurujące się papierkami na wszelki wypadek. Skuteczniejsza byłaby walka przeciw konkretnym „trucicielom". Powtórzę pytanie uprzednio zadane: **dlaczego nie zwrócono się do prokuratora z informacją o ostatnim zrzucie ścieków do Dunajca, dokonanym przez zlewnię mleka w Szaflarach?**

Nie wystarczy też samo zgłaszanie postulatów. Trzeba znaleźć czas, na przykład, na rzeczowe omówienie posunięć profilaktycznych i represyjnych z kolegami po fachu z sąsiedztwa, trzeba uzgodnić wzajemną informację, pozyskać sojuszników do rzeczywistej współpracy w dziele zatrzymania procesu degradacji Dunajca. Takiej koordynacji nie ma na Podhalu (nie ma jej też w innych częściach województwa). Natomiast **rozpleniła się w wielu instytucjach — społecznie szkodliwa — tendencja do występowania w charakterze „dobrych wujków", którzy nikomu nie szkodzą i nikomu się nie narażają.** To nie przypadek, że rozliczeniem sprawy nowotarskiej zająć się musiała partia. Innym wygodniej jest udawać, że to nie ich kompetencje.

*

Tyle o pierwszej rundzie dochodzeń. Druga odbyła się w Nowym Sączu. O niej — i o kolejnych — w następnych naszych publikacjach.

ROMAN KOSTANECKI:

Warto wiedzieć, że...

● **W naszym województwie żyje około półtora tysiąca osób w wieku poprodukcyjnym nie otrzymujących rent ani emerytur oraz około 500 inwalidów I lub II grupy w wieku produkcyjnym, również nie otrzymujących rent.** Około 15 tysięcy osób w podeszłym wieku ma tak skromne środki utrzymania, że nie wystarcza im na życie. Terenowe urzędy administracji państwowej, placówki służby zdrowia, PKPS i PCK udzielają im wielorakiej pomocy. Corocznie z zasiłków stałych korzysta ponad 1600 osób, z zasiłków okresowych około 3000, z jednorazowych świadczeń pieniężnych w naturze ponad 12 000, z bezpłatnych obiadów około 400, z pomocy i usług domowych około 900. Opieką nad chorym w domu objęto około 2,5 tysiąca osób. Ludzie wymagający stałej opieki pielęgnacyjno-lekarskiej kierowani są do domów pomocy społecznej, których mamy 10 w województwie. Brakuje w Nowosądeckiem domów opieki społecznej dla umysłowo upośledzonych kobiet oraz domów dla przewlekle chorych ze schorzeniami układu nerwowego. Na miejsca w domach opieki społecznej oczekuje około 300 osób.

Odrębny problem stanowi grupa osób niepełnosprawnych w wieku produkcyjnym mających wskazania do pracy. Większość z nich może pracę znaleźć w jednej z siedmiu spółdzielni inwalidów, w których pracuje łącznie około 3,5 tysiąca osób, jednakże kilkadziesiąt osób oczekuje na zatrudnienie. Spółdzielnie Inwalidów w pogoni za efektem ekonomicznym niechętnie przyjmują do pracy inwalidów I i II grupy — np. w Nowym Sączu inwalida I grupy z wyższym wykształceniem prawniczym kilka lat poszukiwał pracy. Sytuację pogarsza brak zakładów i stanowisk pracy chronionej poza Spółdzielnią Inwalidów „Zawrat" w Zakopanem, niechęć „normalnych" zakładów do zatrudniania inwalidów oraz mały wybór stanowisk pracy dla pracowników umysłowych.

● Znacznej pomocy ludziom starszym i chorym udziela **Polski Komitet Pomocy Społecznej,** którego 68 opiekunek domowych sprawuje opiekę nad 230 osobami oraz organizuje pomoc sąsiedzką dla 176 potrzebujących. W większości miast i gmin zarządy PKPS działają aktywnie i energicznie. Ale nie można tego powiedzieć o Białym Dunajcu, Bukowinie Tatrzańskiej. Czarnym Dunajcu. Dobrej, Jabłonce, Jodłowniku, Lubniu, Łapszach Niżnych, Łużnej, Rabie Wyżnej i gminie Nowy Targ.

● Wiele dla ludzi schorowanych i starszych czyni **Polski Czerwony Krzyż.** Około 500 sióstr PCK niesie pomoc 3000 osobom. Zbyt mało jednak sióstr PCK jest w Czarnym Dunajcu, Jodłowniku, Łukowicy, Muszynie. Sękowej, Rabce i Zakopanem.

Znaczne osiągnięcia mają również takie organizacje, jak Polski Związek Emerytów, Rencistów i Inwalidów. Związek Inwalidów Wojennych i Wojskowych ZBoWiD, Polski Związek Niewidomych. Polski Związek Głuchych oraz Towarzystwo Walki z Kalectwem. Skierowania na wczasy i leczenie sanatoryjne, udzielanie porad prawnych, organizacja wycieczek turystyczno-krajoznawczych działalność kulturalno-rozrywkowa to tylko niektóre formy świadczonej pomocy.

● Podstawowa rola w strukturze organizacyjnej pomocy społecznej przypada pracownikowi socjalnemu ośrodka zdrowia lub przychodni rejonowej. Sieć takich pracowników tworzona jest od dwóch lat, a ich liczba w regionie sięga dwustu. W wykonywaniu podstawowych zadań współdziałają oni z opiekunami społecznymi, których jest 635.

Corocznie urzędy administracji państwowej, PKPS, PCK oraz PZERiI wydają łącznie na świadczenia socjalne około pół miliarda złotych.

● **Zakopane** — jak co roku o wakacyjnej porze — pęka w szwach. Gdy aura nie dopisze, po Krupówkach przewalają się tysięczne tłumy. Do sklepów trudno się wcisnąć. Codziennie po pieczywo ustawiają się gigantyczne kolejki. Ogromny gwar i ruch męczy wczasowiczów, irytują ich trudności w robieniu zakupów. Najgorszy jest poniedziałek, gdy po wolnej sobocie nieczynne są „Delikatesy" na Krupówkach. W lokalach gastronomicznych drożyzna i bylejakość. Wymienię chociażby **restaurację „Kolorowa",** gdzie niegdyś było przytulnie, a kuchnia znakomita, teraz zaś serwuje się gościom niesmaczne i niechlujnie podane potrawy oraz zawyża rachunki. Kelnerka, której zwrócono uwagę — nie potrafi nawet przeprosić. Zakopiańscy „mistrzowie" sztuki kulinarnej wychodzą widocznie z założenia, że głodny turysta zje wszystko.

● **Sklep „Polmozbytu" w Nowym Sączu — Biegonicach** poszedł za niechlubnym przykładem innych placówek handlowych. 10 sierpnia br. od godzin przedpołudniowych do wie-

Kontroler – od morałów?

Do ogniw partii, do organów władzy i administracji państwowej nadesłano w ciągu roku milion dwieście tysięcy listów, zazwyczaj ze skargami i uwagami krytycznymi. Tamże zgłosiło się w tym czasie prawie milion obywateli. Przyjmując obyczaj występowania we własnej sprawie gdzie się da, przez kalkę, interweniowania u posła, w IRCh, podczas dyżuru ekipy z KC, można ostrożnie przyjąć liczbę interwencji na około półtora miliona, co daje, z grubsza licząc pięć tysięcy dziennie. A więc sporo.

Nie wdając się w szczegóły — na co ludzie się skarżą, które rubryki wykazują dynamikę, które zanikają – stwierdzić można w różnych ogniwach państwa stan niezadowalający. To stwierdzenie wcześniej (lub równolegle) zostało zasygnalizowane przez liczne instytucje kontrolujące. Usterki, uchybienia i błędy wykazuje NIK i ponad trzydzieści innych wyspecjalizowanych służb. Zatem pytanie niepokojące w stopniu najwyższym brzmi: **dlaczego kontrola okazuje się nieskuteczna?**

Wniosek wstępny jest taki: **kontrolowani niewiele robią sobie z inspektorów przychodzących z zewnątrz, a własnych dawno sobie podporządkowali.** Kilka zaledwie procent afer sygnalizują — wykrywają — zakładowi detektywi. Na resztę trafia się przypadkiem lub podczas wielomiesięcznego prześwietlania firmy, zazwyczaj po korespondencji (podpisanej lub anonimowej). Zainteresowani dostarczają czasem rozśmieszających informacji o tym, jak to przed sezonem niektóre sklepy kontrolowane były czterokrotnie w ciągu dnia, co przecież nie miało żadnego wpływu na jakość i rozmiar dostaw albo o n a w i e d z e n i u niektórych przedsiębiorstw przez ponad pięćdziesiąt ekip rewizyjnych w ciągu roku. Jak to zwykle u nas bywa, prawda miesza się z półprawdami. **Nadmiar kontroli i ich niewielka skuteczność, to dwie połówki jednego medalu.**

Jeden z dyrektorów NIK wystąpił niedawno w Sejmie z zadziwiającym oświadczeniem: *Skuteczność kontroli to nie tylko domena kontrolujących, ale i kontrolowanych.* Z dalszych wyjaśnień wynika to właśnie, co się państwu wydaje: **kontroler stał się moralizatorem, a jego zalecenia bywają wykonywane zależnie od dobrej woli personelu instytucji poddanej sprawdzeniu.** Takie podejście stanowiłoby całkowity przewrót w doktrynie państwowej (łączącej od wieków pojęcie „control" z uprawnieniami władczymi pod groźbą dymisji lub więzienia), gdyby nie dalsze rewelacje. Otóż władza nie zrezygnowała z uprawnień kontrolnych, z nakazów w ten sposób ustanawianych, lecz w części przedsiębiorstw państwowych i spółdzielczych znajomość prawa ograniczono jedynie do jednej ustawy: tej o przedsiębiorstwie, o dwa lata późniejszej od tej o NIK (1980), w której nie przewidziano totalnej samodzielności, samorządności itp. Rady Nadzorcze, a także rady pracownicze podtykają inspektorom pod nos tę lepszą ustawę i nie zgadzają się na odwołanie dyrektora czy prezesa — chociaż zaprotokołowane fakty przemawiają za rychłym pozbyciem się personalnego balastu. *Niejednokrotnie musimy staczać istne boje o to, by przestrzegano naszych ustaleń* — stwierdza w dalszej części swego wystąpienia dyrektor z NIK. Takie są skutki ograniczenia lektury i zapominania o władczej roli Sejmu, którego organem jest Najwyższa Izba Kontroli.

System kontroli w państwie rzeczywiście wymaga głębokiej reformy. Zbyt wielu uprawnionych, zbyt mała skuteczność. Jeżeli zespół powołany przez I sekretarza dla zreformowania kontroli państwowej rzeczywiście zaproponuje rozwiązania skuteczne — okaże się wówczas, jaka część skarg i zażaleń, wystąpień nacechowanych obywatelską troską o całość, wynikała z aroganckiej głuchoty usamodzielnionych przedsiębiorstw i instytucji.

DOROTA MARKIEWICZ

TYDZIEŃ

Autobusy WPK stoją bezczynnie w Nowym Targu, ponieważ nadal brakuje kierowców do ich obsługi. Nawet na dwóch liniach uruchomionych w lipcu potrzebny był „import" kierowców spoza Podhala. ▲ W Mszanie Dolnej „Samopomoc Chłopska" dotrzymała przedwakacyjnej obietnicy: nie brakuje podstawowych artykułów spożywczych, zatroszczono się też o zaopatrzenie kolonii ▲ Czytelnicy ganią gastronomię w Bukowinie Tatrzańskiej, a miłośnicy Krynicy krytykują szpetotę uzdrowiska, zaniedbanie zieleni i niedostatek elementarnych usług ▲ Egzekutywa KW partii przyjrzała się — bez zapowiadania wizytacji — obozom i koloniom letnim. Wrażenia wyniesione z odwiedzin kilkudziesięciu placówek są tak zróżnicowane, że trudno formułować jednoznaczne oceny. Na ogół chwalono nasze instytucje handlowe za przyzwoite zaopatrzenie. Młodzież nie narzekała na brak ciekawych zajęć, chociaż program niektórych kolonii nie grzeszył pomysłowością. Obeszło się bez nieszczęśliwych wypadków, młodzi wracają do domów zdrowi i wypoczęci. Dzieci z Nowosądeckiego też wyjeżdżały w różne strony kraju i za granicę, ale większość spędziła wakacje w domu. Tylko niektóre organizacje i instytucje zatroszczyły się o to, by podczas lata zorganizować wiejskie dziecińce i inne formy wypoczynku ▲ Pozytywne sygnały docierają z budów prowadzonych przez PBO „Podhale"; cieszą one szczególnie, ponieważ niedawny kryzys w tym przedsiębiorstwie wydawał się trwały ▲ Z mieszanymi uczuciami powracają z zagranicznych wojaży zespoły regionalne. Niektóre wyjazdy były fatalnie zorganizowane ▲ Kolejny raz wprowadzeni w błąd przez informatorkę sądeckiego dworca PKP chcieliśmy rozmawiać z naczelnikiem stacji. Był (podobnie jak w poprzednim tygodniu) poza biurem, ale sekretarka umiała powiedzieć, gdzie szef się znajduje. Nie potrafiła wszakże wskazać nikogo, kto w zastępstwie mógłby z nami rozmawiać. Dworzec kolejowy w wojewódzkim mieście pozbawiony był zatem zupełnie kierownictwa w dniach 4 i 14 sierpnia (w pierwszym przypadku o godz. 11, w drugim — o godz. 14). Czy służbowe wyjścia „w teren" nie powinny być tak planowane, żeby jedna osoba zawsze pozostawała na miejscu? W razie wypadku wymagającego natychmiastowej decyzji wyjdzie na jaw niefrasobliwość w organizacji pracy kierownictwa!

KTO – KIM?

PIOTR BIES — lat 26, artysta plastyk (rzeźba, tkanina artystyczna), laureat konkursowej wystawy „Ziemia i ludzie" w Zakopanem (prezentowanej do końca sierpnia w sądeckiej Galerii BWA); urodzony w Rabce, w rodzinie podhalan, absolwent Szkoły Kenara oraz krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, od ubiegłego roku mieszka w Muszynie; debiutował wystawą portretów i aktów w Klubie MPiK w Nowym Sączu; żona Barbara — pielęgniarka; zainteresowania: góralski folklor (podczas studiów tańczył w zespole „Skalni") górskie wędrówki, literatura, teatr; pisze opowiadania o tematyce regionalnej.

Jan KRUPSKI — lat 64, prezes zakopiańskiego Koła Przewodników PTTK, działacz społeczny, członek Związku Podhalan; urodzony w Zakopanem, studia — Politechnika oraz Szkoła Główna Planowania i Statystyki w Warszawie; przez wiele lat pracował zawodowo w PKP, ostatnio był zastępcą naczelnika dworca w Zakopanem; w latach pięćdziesiątych rozpoczął działalność w PTTK jako przewodnik tatrzański, od 20 lat — prezes Koła; odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski; żona Bronisława — emerytowana pracownica PBO „Podhale", córka Bogusława — polonistka, zięć Marek — inżynier zootechnik, wnuczek Michał (10 lat); zainteresowania: poezja (pisze wiersze, drukuje m. in. w „Podtatrzu"), maluje pejzaże oraz portrety przyjaciół; wystawiał w Zakopanem, Gdyni, Krakowie, ostatnio w Klubie „Expressu Wieczornego" w Warszawie.

Mieczysław TALAR — lat 59, główny mechanik Łososińskiego Przedsiębiorstwa Przemysłu Drzewnego, 30 lat pracy na jednym stanowisku; urodzony w Wilnie, absolwent Technikum Przemysłu Drzewnego w Bydgoszczy, od 1948 roku mieszka i pracuje w Łososinie Górnej; wraz z Przedsiębiorstwem święcił niedawno 35-lecie zakładu; odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski i Srebrnym Krzyżem Zasługi; żona Krystyna — pracownica CPN w Limanowej, synowie: Andrzej i Tomasz pracują w limanowskich przedsiębiorstwach (CPN oraz WPK), dwie wnuczki; hobby — majsterkowanie, podróże (obecnie wyjeżdża do Wilna).

Antoni WNĘK — lat 45, dyrektor Miejsko-Gminnej Biblioteki Publicznej w Starym Sączu, animator życia kulturalnego miasta; urodzony w Kiczni koło Łącka, absolwent polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego, przez kilka lat — pracownik Muzeum Marii Konopnickiej w Żarnowcu, od 1973 roku kieruje starosądecką Biblioteką (zbiór 45 tys. książek, łącznie z filiami — 85 tys. tomów); organizator spotkań z artystami, wystaw, konkursów czytelniczych; opracowuje wydania bibliofilskich druków, numizmatyk, filatelista, kronikarz, miłośnik zabytków; Zasłużony Działacz Kultury, przygotowuje na wrzesień wystawę exlibrisów Jana Tadeusza Czecha, zabiega o rejestrację Nowosądeckiego Oddziału Towarzystwa Przyjaciół Książki.

Stefania WOJCIACZYK — lat 46, naczelniczka Miasta i Gminy Mszana Dolna, urodzona w Kasince Małej, studia w Krakowskiej Wyższej Szkole Pedagogicznej; przez 26 lat pracowała w Lubomierzu jako pedagog, następnie dyrektor szkoły, w 1985 roku objęła urząd naczelnika, w PZPR od 24 lat, harcmistrz Polski Ludowej, aktywistka TPD; odznaczona Złotym Krzyżem Zasługi; zainteresowania: kultura ludowa, historia regionu, ulubiony pisarz — Władysław Orkan, inicjatorka budowy Wiejskiego Domu Kultury w Lubomierzu; obecnie współuczestniczy w przygotowaniach do obchodów pięćdziesięciolecia strajków chłopskich w rodzinnej wsi, Kasince Małej; mąż Wojciech — instruktor Wojewódzkiego Komitetu ZSL, córka Lucyna — nauczycielka.

czora trwał odbiór towaru i sklep był dla klientów zamknięty. W dniu następnym sklep oblegali kupujący, ale efektów tego wielogodzinnego zaopatrywania placówki nie było specjalnie widać.

● Centrum **Jabłonki**, gdzie usytuowana jest restauracja „Orawianka" oraz przystanek autobusowy, tonie w śmieciach. Przynajmniej tak było wieczorem 9 sierpnia br. Nadgraniczna wieś, leżąca przy międzynarodowej trasie samochodowej, wita niechlujstwem i brudem wracających z zagranicznych wojaży rodaków oraz turystów wjeżdżających przez Chyżne do Polski.

Turyści chwalą natomiast sprawną i dobrze zorganizowaną odprawę paszportowo-celną na tym przejściu granicznym. **Słowa uznania należą się wopistom i celnikom.**

● W ciągu I półrocza br. nastąpił w województwie spadek pogłowia bydła o 2,1 procenta a owiec o 9,1. O 21 procent wzrósł (w porównaniu z I półroczem br.) skup bydła rzeźnego, a trzody chlewnej zmalał o 24 procent. Wysoki, bo aż 30-procentowy był wzrost skupu mleka (najwyższy w kraju).

● **Limanowskie** słynie z gospodarności i licznych czynów społecznych. Przyjęty przez Radę Narodową Miasta i Gminy program czynów społecznych na 1987 r. obejmuje aż 50 zadań, o łącznej wartości około 173 milionów złotych. Wkład społeczny ludności sięgnie 95 mln zł. Społecznym wysiłkiem budowane są wodociągi wiejskie w **Męcinie** i **Mordarce**, remiza OSP w **Siekierczynie**, trwa gazyfikacja **Łososiny Górnej**, osiedla „Nad Torem" w **Limanowej** oraz wsi **Męcina, Mordarka, Pisarzowa** i **Stara Wieś**. W budowie są 4 mosty, 20 odcinków dróg i 8 ulic. Doprowadza się instalację telefoniczną do najbardziej oddalonych przysiółków, do sołtysów i inseminatorów. Remontowane są boiska sportowe w **Pasierbcu** i **Łososinie Górnej**. W **Kłodnem, Wysokiem** i **Pasierbcu** remontowi poddano budynki szkolne.

W I półroczu br. zrealizowano 60 procent zadań zaplanowanych na ten rok. Gdyby nie nagminne braki cementu, materiałów ściennych i rur — efekty byłyby jeszcze lepsze. Wysiłek ludności skierowany został również na usuwanie skutków majowej powodzi. Straty powodziowe oszacowano na 209 mln złotych. Woda zniszczyła prawie 17 kilometrów ulic, 25 mostów i przepustów, 85 km dróg gminnych.

● Największym problemem na budowie **nowotarskiego szpitala** jest brak ludzi do pracy; na tak dużej inwestycji pracuje średnio 40 osób! Występują ponadto ciągłe perturbacje z dostawą stali oraz terminowym wchodzeniem na budowę poszczególnych wykonawców. Opóźnienia notuje się na budowie centralnej ciepłowni dla Nowego Targu, bo krakowski „Mostostal" nie przystąpił w zaplanowanym terminie do montażu konstrukcji stalowych, co spowodowało wstrzymanie robót na całym obiekcie. Natomiast Przedsiębiorstwo Budownictwa Rolniczego z Limanowej nie rozpoczęło jeszcze prac przy budowie internatu dla Technikum Weterynaryjnego w Nowym Targu.

● Na rok bieżący zaplanowano oddanie w **Nowym Targu** 86 mieszkań w budownictwie wielorodzinnym, ale w I półroczu zdążono zbudować zaledwie 16. Ogromnie opóźnione są również remonty komunalnych budynków mieszkalnych. Na ten cel przeznaczono 28 mln zł, a w I półroczu wykorzystano zaledwie 3 miliony.

● Kosztem 322 milionów złotych budowana jest **szkoła podstawowa na Równi Szaflarskiej** w Nowym Targu. Ma być oddana do użytku 1 września 1988 r. Jest to termin realny, ale pod warunkiem zwiększenia mocy przerobowej PBO „Podhale", które jest wykonawcą budynku.

W br. prace remontowe wykonano w nowotarskich szkołach podstawowych nr 1, 2 i 3, w Liceum Ogólnokształcącym oraz w kilku przedszkolach. Na wiele pilnych zadań wciąż brakuje środków. W dobrej sytuacji są więc te placówki oświatowe, które mają bogatych organizatorów kolonii.

Zaprosili nas

Komenda Wojewódzka Ochotniczych Hufców Pracy do Poronina na Seminarium pt. „Praca na rzecz Pokoju", z udziałem reprezentantów ruchów brygadierskich z Bułgarii, NRD i ZSRR;

● Wojewódzki Ośrodek Kultury do Galerii Współczesnej Twórczości Ludowej, na wystawę korzenioplastyki Władysława Peciaka, czynną do 24 września br.;

● Klub MPiK w Nowym Sączu na wystawę poplenerową „Szymbark '87", którą można zwiedzać do 28 sierpnia br.;

● Wiejska Galeria Sztuki BWA w Jazowsku na wystawę malarstwa krakowskiej artystki. Danuty Westrych — ekspozycja czynna do końca sierpnia;

● Zarząd Krynickiego Towarzystwa Fotograficznego na wystawy fotogramów w Pijalni Głównej: do końca sierpnia ekspozycja Marka Strzałkowskiego z Łącka pt. „Moje krajobrazy"; we wrześniu — wystawa związana z ubiegłorocznym Festiwalem Arii i Pieśni;

● Miejsko-Gminna Biblioteka Publiczna w Starym Sączu na wystawę malarstwa Janiny Kozy z Jazowska — czynną do połowy września br.

(CIĄG DALSZY ZE STR. 1)

ka, i dla rolnika — powie po półwieczu Marcin Michalak z Kasinki Małej. — *Panowie pieniędzy mieli po czubek głowy, a prosty człowiek marniał. Nie było skąd wziąć grosza, a podatki trzeba było płacić. Tymczasem to, cośmy zdołali wydrzeć z naszych biednych gospodarstw, musieliśmy sprzedawać za bezcen. Za jajko dostała gospodyni 3 grosze, ale pudełko zapałek kosztowało 10 groszy, kilo cukru — złoty i 10 groszy. Innego zarobku we wsi człowiek nie znalazł. Pamiętam, jak grupa chłopaków z Kosinki poszła za robotą do Rabki, gdzie budowano sanatoria, pensjonaty. Ale z Rabki odesłano ich do Zakopanego, do biura. Więc poszli. Na nogach. W Zakopanem gadał z nimi jakiś mężczyzna, wypytywał, po co przyszli, czego szukają — a potem odesłał do domów, kazał trzymać się pazurami tych skrawków ziemi, które mieli ich ojcowie, a nie zabierać roboty bezrolnym.*

— *Mój ojciec miał więcej szczęścia* — uzupełnia obraz tamtych lat sołtys. — *Dostał pracę na budowie w Rabce; odtąd widywaliśmy go tylko w niedzielę, kiedy przychodził, oczywiście pieszo, by w poniedziałek raniutko wracać. Nie daj Bóg, żeby się spóźnił!*

Nadzieją chłopów stało się Stronnictwo Ludowe. Schodzono się na zebrania, radzono, jak poprawić życie. W Kasince Małej też powstało koło Stronnictwa. Prezesował mu Franciszek Widzisz.

Michalak ma dziś 81 lat, ale nieosłabła pamięć usłużnie podsuwa mu wspomnienia z młodości pełnej wydarzeń: zgromadzenie w Limanowej, na którym domagali się, by przyszedł do chłopów starosta i wymusili, by przyjął ich żądania; wiec w Wierzchosławicach — rodzinnej wsi Witosa; zebranie zwołane w Kasince — mieli wyruszyć do Mszany, domagać się spełnienia obietnic poprawy bytu, ale zostali powstrzymani przez prezesa zarządu powiatowego Stronnictwa, Józefa Mamaka, bowiem czekały na nich karabiny maszynowe. To było wtedy, kiedy ludzie z Raby Niżnej porozkręcali tory, paraliżując transport; odsiadywali potem po roku-dwa. Pamięć Michalaka przywołuje też chwilę, gdy on sam poczuł palące uderzenie policyjnej pałki.

ELŻBIETA GLINKA

Kasinka, rok 1937

Znamienne: chłopi coraz bardziej świadomi byli, że kryzys ekonomiczny wiąże się z niedostatkami władzy politycznej. Na wiecach i manifestacjach równie głośno jak o poprawę bytu — a może nawet głośniej — wołali o demokrację, o rząd społecznego zaufania. Coraz lepiej zdawali sobie sprawę, że od istniejących władz nie wyproszą koniecznych zmian. Że trzeba sięgnąć po inne środki niż prośby, petycje, żądania.

16 sierpnia 1937 roku proklamowano w Polsce dziesięciodniowy wielki strajk chłopski.

— Do Józefa Dziadkowicza — wspomina Michalak — *przyjechał jakiś gość spoza Kasinki, nakłaniał do udziału w chłopskim buncie. Prezes Widzisz zwołał u Jana Szczypki na Seusach zebranie, gdzie radziliśmy nad strajkiem. Chodziło o to, byśmy ani sami nie wozili towarów na jarmark, ani innych tam nie dopuścili. Mieliśmy zatrzymywać furmanki, wyjaśniać ludziom, że zbyt małe pieniądze dostają za swoje produkty. No i zatrzymywaliśmy.*

W Kasince Małej sformowano dwie placówki, na których chłopi pilnowali dróg: jedną na moście, przy trakcie do Łubnia, drugą na granicy między Kasinką i Mszaną Dolną.

Był jeszcze posterunek trzeci, zorganizowany samorzutnie przez kilku ludzi — koło Stawisk, gdzie znajdował się doroczny obóz młodzieżowy YMCA. — *Wrawdzie prezes Widzisz mówił, że nie należy od tego obozu odganiać* — wyjaśnia Michalak — *ale uważaliśmy, że i ci, którzy tam dostarczają mleko czy chleb, też powinni się z nami solidaryzować. Andrzej Drabik i Jakub Kozak nie przepuścili od Mszany furmana wiozącego do Stawisk chleb. Dyrektor ośrodka wezwał policję. Przyjechali granatowi, pobili okrutnie Dudzika i Kozaka.*

Wojciech Jamróz opublikuje w 30 rocznicę strajku chłopskiego wspomnienia o wydarzeniach w Kasince. Napisze, że tego tragicznego dnia — 23 sierpnia — na moście czuwał Józef Szczypka z kilkoma ludźmi, a na granicy Mszany Kaczmarczyk z Łopusznego — przysiółka Kasinki — z trzema towarzyszami. Ten drugi posterunek nie przepuścił urzędnika udającego się do Łubnia. Zawrócił on do Mszany. A około godziny 9.30 nadjechał samochód, wyskoczyło czterech policjantów. Spałowali chłopów.

— *Andrzej był wtedy moim narzeczonym* — mówi Maria Drabik, z domu Nowak. — *Wiele rozmawialiśmy o doli chłopskiej, o naszym Stronnictwie. Wiedziałam, że Andrzej bierze udział w pikiecie. Ale nie przypuszczałam, co czeka strajkujących. Pierwszy tydzień strajku minął spokojnie. Aż przyszedł tamten straszny dzień. Andrzej był na posterunku, kiedy policjanci chcieli odpędzić stamtąd chłopów. Uciekał przed pałkami, lecz przewrócił się na kartoflisku. Dopadli go. Zbili okropnie, ledwo dowlókł się do domu.*

Policjanci pojechali ku drugiej chłopskiej placówce. Czuwający tam kasinczanie nie dali się rozpędzić. Pałkom granatowych przeciwstawili kije. Policjanci wycofali się.

Franciszek Widzisz na wieść, co się działo na placówkach, postanowił zwołać zebranie, by zdecydować, jak dalej prowadzić strajk.

Około godziny pierwszej po południu — napisze później Wojciech Jamróz — nadjechało do wsi auto ciężarowe naładowane policją w hełmach, uzbrojoną nawet w maski gazowe — słowem jak żołnierze idący na front.

— *Akurat siadłem do obiadu* — opowiada Marcin Michalak — *gdy leci Józef Dziadkowiec i krzyczy, że najechało wiele policji, biją mieszkańców wsi. Ludzie zaczęli wychodzić z domów...*

Prezes Widzisz też podążał — konno — z gromadą chłopów od górnej wsi w dół. Rozległy się chrapliwe dźwięki trombit, własnoręcznie wykonanych przez kasinczan, głoszące alarm.

„Gromada chłopów zwiększała się, bo ludzie zbiegali się zewsząd. Było też sporo kobiet, które szły na przodzie. W miarę zbliżania się do miejsca, gdzie nastąpiło tragiczne zajście, odległość pomiędzy policją a gromadą chłopów zmniejszała się. Policja widocznie bała się tej chmary ludzi, którzy byli nastrojeni bojowo oraz wznosili okrzyki przeciwko policji i sanacji — opisze to po latach Jamróz. — Gdy ta gromada przechodziła obok osiedla „Szczypki", wybiegł z osiedla i dołączył do chłopów Antoni Szczypka z okrzykiem „hurra!", a za nim biegła jego żona, Aniela, trzymając potężną gałąź. Policjanci obawiając się widocznie, że ta gromada ludzi może ich napaść z tyłu, gdy doszli do dogodnego miejsca, rozwinęli się w tyralierę trzymając karabiny gotowe do strzału. Wówczas prezes, który jechał konno, wysunął się przed chłopów, kazał mi się zatrzymać a sam, ruszył naprzód. Chcąc się dowiedzieć czego chce policja. Jednakże chłopi parli naprzód ku policji, a kobiety na czele. Gdy zbliżyli się do policji na jakieś dwa kroki kobiety, Zofia Mucha i Aniela Szczypka uderzyły policjantów kijami. W tejże chwili nadciągnęli mężczyźni i jeden z nich, Franciszek Jakubiak, uderzył kijem w głowę jednego z policjantów. Na to stojący obok policjant uderzył kolbą w głowę Jakubiaka i zabił go na miejscu. Jednocześnie policja oddała salwę w tłum, od której zginęło na miejscu 4 chłopów."

— *Gdy Widzisz spadł z konia* — mówi Michalak — *rzuciłem się ku niemu. Leżał na ziemi, wsparty na łokciach. Nie mógł już nic powiedzieć.*

Wstrząsający obraz nakreślił w swych wspomnieniach również inny naoczny świadek zajść, Marcin Stożek: „Widzisz po otrzymaniu rany podniósł się, usiłował się wycofać z pola obstrzału, ale znów upadł — ugodzony kulą. Gdy się znów podniósł, znów został ostrzelany".

— *Nasz dom znajdował się tuż obok miejsca tamtych tragicznych wydarzeń* — wyjaśnia Kunegunda Szlaga — *więc widziałam wszystko. Byłyśmy same z mamusią. Był też koło domu jakiś*

BEATA DEMBOWSKA

Piszą do nas

● **Pani Zofia Matusik-Strakosz z Nowego Sącza wsiadła do ostatniego autobusu WPK odjeżdżającego z Poręby Małej tuż przed północą i sądziła, że jedzie on — jak zwykle — na ul. Obrońców Narwiku. Tymczasem z dworca PKP „trójka" (nr boczny 279) ruszyła z stronę zajezdni. Czytelniczka uważa, że autobus zjeżdżający z normalnej trasy powinien mieć odpowiednią tablicę informacyjną, zaś kierowca też mógłby pasażerów o tym poinformować.**

Na naszą interwencję nie zatrzymał się, a wręcz przeciwnie bardzo niegrzecznie odparł, że dla naszej przyjemności nie będzie nas woził na ul. Obrońców Narwiku. Zatrzymał się dopiero przy przejeździe kolejowym. Wracaliśmy w środku nocy z dziećmi, na próżno upatrując taksówki.

Czy kierowca na przystanku przy dworcu PKP nie był obowiązany powiadomić pasażerów, że zjeżdża do zajezdni? Trochę kultury kierowców WPK ułatwiłoby nam życie.

W tym miejscu pragnę podziękować funkcjonariuszom RUSW, którzy odbywając swój nocny patrol (z 1 na 2 sierpnia br.) zauważyli, że bezskutecznie oczekujemy na taksówkę i bezinteresownie odwieźli nas z ul. Limanowskiego do domu. Dwa jakże różne zachowania ludzi na służbie.

● Mieszkaniec bloku 1 przy ul. Armii Krajowej w Nowym Sączu pisze, że deszczówka zalewa mieszkania do siódmego piętra włącznie Przez dziury w dachu woda dostaje się na rury centralnego ogrzewania, na ściany i korytarze (a stąd do kanału windowego). W *mieszkaniu nr 32 przy kolejnym zalaniu uległa zniszczeniu wykładzina podłogowa; pod nr 33 diabli wzięli fototapetę wartości kilkudziesięciu tysięcy złotych. W wielu mieszkaniach powstały zacieki.*

Po interwencjach dach naprawiono, lecz sytuacja nie uległa zmianie. Na prośbę mieszkańców w dniu 25 lipca przyszedł kierownik budowlany z Grodzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej. Obejrzał korytarze, ale szkody wyrządzone w mieszkaniach przez deszcz nie interesowały go. Niech się PZU martwi! A jeśli ktoś nie ubezpieczył mieszkania. to kto mu wróci olbrzymie straty?

Czynsze za mieszkania wzrastają, lokatorzy będą domagali się odszkodowania, ale spółdzielnia i tak wkalkuluje to w następną podwyżkę czynszów. Jakbyś się nie odwrócił, masz plecy z tyłu!

Jest jeszcze jedna bolączka. Utrudnia nam życie stały brak wody — zarówno ciepłej, jak i zimnej — zwłaszcza na wyższych piętrach. Zaczynamy się przestawiać na nocny tryb życia, bo w dzień wody brakuje.

Od redakcji: Prosimy Zarząd Grodzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej o wyjaśnienie, co zamierza się zrobić, by usunąć niedogodności życia w bloku nr 1 przy ul. Armii Krajowej oraz — kto reperował ten dach.

● **Państwo Urszula i Adam Ziembowie płynęli wraz z dwojgiem** dzieci przez Przełom Dunajca (30 lipca, łódź nr 321, ob. Mariana Kity):

Już w Sromowcach Niżnych łódka pierwszy raz osiadła na kamieniach, później powtórzyło się to wielokrotnie. Stojący z przodu flisak kierował łódź w zastraszającym tempie na kamienie i skały. Przed głębią obróciło nas bokiem i tak przepłynęliśmy ten odcinek wartkiej rzeki. Flisak z tyłu bardzo się denerwował na swego partnera za nonszalancję i brak odpowiedzialności, krzyczał na niego i stwierdził, że więcej razem nie popłyną.

Zamiast podziwiać uroki Pienin z utęsknieniem czekaliśmy na koniec tej przejażdżki.

Niniejszym proszę o poczynienie stosownych działań, aby zapobiec nieszczęściu w przyszłości. Krótko mówiąc pierwszy flisak był niedysponowany: opowiadając o Pieninach tracił kontrolę nad łodzią i był tyłem zwrócony do trasy przepływu. Był to mój czwarty spływ, ale z czymś takim jeszcze się nie spotkałam! Wyrażam szacunek dla flisaków, którzy poważnie podchodzą do pracy i z dużą odpowiedzialnością. Gdyby nie refleks, siła i umiejętności drugiego flisaka, podróż skończyłaby się tragicznie.

Od redakcji: Prosimy Zarząd Stowarzyszenia Flisaków o ustosunkowanie się do skargi państwa Ziembów i poinformowanie nas o podjętych krokach.

● Pani **Maria Klupczyńska** z Piotrowa, wypoczywająca na Olczy, sięgnęła po „Dunajec" i trafiła na „Rozmowę z panem Józiem", który postuluje między innymi, by szpitale i ośrodki zdrowia przeszły na rozrachunek własny.

Proszę powiedzieć, jak Autor tego pomysłu wyobraża sobie leczenie onkologiczne kobiety, matki kilkorga dzieci? Niech szanowny pan redaktor przyśle Autora tego artykułu do mnie na wczasy, żeby poznał trochę uboższych ludzi. Ja, tak samo jak pan Józio, zgrzytam zębami na wiele spraw i jestem uważana za czarną owcę. Ale proszę zwrócić uwagę na fakt, że śmiałe innowacje pana Józia mają dwa oblicza, tak samo jak przysłowiowy kij ma dwa końce. Śmiałe i zda się realne postulaty stawiane dziś — mogą się obrócić przeciw ludziom już niebawem.

● Czytelnik z Poronina pomstuje na wszystko — jak na górala przystało. Trzy sklepy spożywcze zamknięte, bo brak personelu. Autobusów mniej, bo młodzieży do szkoły w lecie nie wożą, a do tego — 10-procentowy „dodatek turystyczny". Autor (nazwisko do wiadomości redakcji) ma pomysł, jak się z tą mizerią uporać: sklepowe przywieźć z innych miejscowości, zaś PKS-owi zrobić konkurenta (górale wykupią obligacje!).

Gdy już dożyjemy zniesienia podatków, gdy kierowców, murarzy i ekspedientki będzie się na Podhale zwozić z gorszej części Polski, nasz Czytelnik uzna, że można odsłonić przyłbicę i podpisać jego wypowiedź imieniem i nazwiskiem. Na razie wzywa red. Andrzeja Szymańskiego, aby głośniej grzmocił w bylejakość.

● **Pani Janina Łuszczewska** prosi o druk w odcinkach kolejnej powieści Tadeusza Dołęgi Mostowicza. Pewnie Panią rozczarujemy, bo wybraliśmy już innego autora na ostatnią stronę. Będzie to mianowicie sensacyjna powieść o współczesnej Ameryce. Sądzimy, że się spodoba. Druk rozpoczniemy niebawem.

● Koloniści z łódzkiego „Cefarmu" — wypoczywający w Stróżach — chwalą miejscowe władze, grybowski handel i — szczególnie — pana **Jana Ziomka,** prezesa Straży Pożarnej.

Dzięki niemu dzieci oglądały pokaz gaszenia pożaru, brały udział w ognisku, przy którym kombatanci wspominali przeszłość. Nigdy nie zapomnimy Pana Ziomka, najżyczliwszego mieszkańca Stróż!

młody chłopak w akademickiej czapce, obcy we wsi. Gdy padły strzały, ten student tylko krzyknął: „Pudnij, panii", bo stałymy przy oknie. Widziałam, jak prezes próbował rozmawiać z policją potem jak ludzie padali. Porwałam z szafy jakąś szmatę, chyba koszulę brata — chciałam opatrywać rannych. Ale policjanci nie dopuścili. Stałymy potem z mamą na ganku, a z nami kobiety, sąsiedzi, którzy wcześniej przed policjantami. Płakałymy wszystkie.

Listonasz Rusnak nadjechał z Mszany na rowerze. Policjanci wysłali go auto. Potem listonosz zajechał na plebanię, by ksiądz przyszedł do umierających.

Na placu leżeli zabici i najciężej ranni. Reszta uciekła w popłochu, nawet ci, którzy też mieli poprzestrzelwane ręce i nogi. Brat Kunegundy Szlagi, wówczas szesnastoletniej panny Lipień, był już po służbie wojskowej, jako pełnił funkcję sanitariusza. Po kryjomu ocatrywał rannych kasin czan. Chodził po domach. — *Udawał, że idzie na próbę orkiestry albo w własnej sprawie, ale widziałam, że bierze opatrunki, choć starał się to robić skrycie. Policja trapiła po wsi uczestników strajku.*

Ale to działo się już w następne dni i tygodnie. Tymczasem trwał jeszcze koszmar. Przyjechało do Kasinki policyjne auto. Wrzucone doń parę snopków zboża potem odciążone brali zabitych i rannych na karabiny jak na drążki i ciskali na te snopki. Rywcie się do mężów kobiety — nawet ciężarną Widziszową — odpychali brutalnie, kopali. Nie dali księdza czasu na krótką chociby rozmowę z rannymi — pozwolili tylko, by w biegu wgramolił się do auta. Za jadącym samochodem biegły kobiety.

Policjanci powieźli do Mszany ciężarną ciała oraz siedmiu rannych kasinczan. Tylko dwóch z nich: Sebastian Haras i Jan Szczyrka — miało przeżyć. Leczono ich w nowotarskim szpitalu, potem odsiadywali wyroki w Nowym Sączu.

Auto już odjechało, gdy na miejsce wydarzeń przybiegł Wojciech Jamróz, który dotychczas — nawet matka — nie wiedział, co się we wsi dzieje. „Po drodze — napisze po latach — spotkałem kol. Franciszka Szlagę, a na miejscu paru chłopów, którzy widzieli całe zajście. Pomierzyliśmy odległości zabitych od policji i sporządziliśmy protokół. Gdy znaleźliśmy łuski od nabojów, stwierdziliśmy, że policja strzelała kulami dum-dum."

Nocą policja przywiozła dziewięć trumien. Spoczywały w nich zwłoki ofiar krwawych zajść w Kasince Małej: Stanisława Bolisęgi, Józefa Ciężaka, Franciszka Cyrka, Franciszka Jakubiaka, Józefa Jakubiaka, Władysława Kucharczyka, Jana Plewowskiego, Andrzeja Piwkowicza i Józefa Ciszka Widziszą. Najstarszy przeżył 57 lat, najmłodszy 25. Teraz spocząć mieli we wspólnej mogile, na której już w Połsce Ludowej stanie pomnik z napisem: „Bohaterom poległym w strajku chłopskim w Kasinie Małej 23 sierpnia 1937 r."

— *Ich pogrzeb stał się prawdziwą manifestacją* — Marcin Michalak się pamięta 50 lat wstecz. — *Z pięć tysięcy ludzi szechało z okolicznych wiosek, ze sztandarami. Przyjechałoby więcej, ale powódź zerwała drogi.*

Nad Kasinką zawisła chmura żałoby i przygnębienia. Bano się również represjonowań. Policja nachodziła domy, wypytywała. Kunegunda Szlaga opowiada, że matka kazała jej udawać chora, gdy policjanci nastawczyie domagali się od młodej dziewczyny relacji o tym, co zaobserwowała, i nawziął ludzi, którzy szuqli chok domu Lipieńów groźnym pochodem.

W pół roku po tragicznych wydarzeniach odbyło się w Krakowie Kongres Stronnictwa Ludowego. Z kongresowej trybuny rozległy się na cały kraj słowa Jana Wiktora — słowa, które wiele kart swych utworów poświęcił doli góralskiego ludu: — *Te krew musi scementować, związać ze sobą i wszystkie nie tylko wieś, ale sprawiedziwy, zlepiony i zniewolony naród. Ta krew musi nas rozpłomienić. Musimy ją rzucić pod nasze serca, aby je podpaliła wielkim ogniem miłości do Polski sprawiedliwej, dla której oddali życie tamci rozwcowani chłopi, jej synowie.*

*

Minęło pół wieku. Kasinka Mała jest dziś niepodobna do tamtej biednej, przygnębiejej wśród Gorców wioski, która krwią zapłaciła za swe marzenia o chlebie, pracy, lepszym losie. Rozbudowała się, wypiękniała. Pozostał w niej jednak duch twórczej niepokój pchający ludzi do wspólnych działań dla poprawy życia. I przezornie pamięć o dziadach i ojcach, którzy zginęli w dniach wielkiego chłopskiego strajku.

23 sierpnia br. odbędą się w Kasince wielkie uroczystości. Wieś zostanie odznaczona Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Na zbiorowej mogile poległych orza pod pomnikiem powiększonym wydarzeniem 1937 roku spoczną wieńce i wiązanki kwiatów. Sesja popularno-naukowa przypomni znaczenie strajków chłopskich w torowaniu drogi ku ludowej Polsce. Spotkanie zasłużonych działaczy ruchu ludowego z przedstawicielami centralnych oraz wojewódzkich władz politycznych i administracyjnych będzie okazją do uhonorowania wkładu wielu ludzi w rozwój wsi Kasinka i gminy Mszana Dolna, w której Kasinka leży.

Fot. JAN URYGA

KACIK potk. Czesława Glińskiego

Płut. Piotr Polka i kpr. Grzegorz Potaczek uparli się. Już którąś dzień z rzędu, nawet gdy mieli „wolne", lawirli na swym punkcie obserwacyjnym, zlokalizowanym przy ruchliwej „takopiance" na wyjeździe restauracji „Zaborniankа". Zdrożony turysta zmotoryzowany, zmierzający do zimowej stolicy Polski lub powracający z zaśnieżonych wojaży przez Chyżne lub Łysą Polanę, często decyduje się tu na przerwę w podróży. Przed restauracją jest pokaźny parking. I ten właśnie parking zaczął przyspazrać rabcarskiej Milicji w czerwca i kilka zgłoszeń, że turyści popasujący w gościnnych progach „Zaborniankі" zostali poszkodowani — do samochodu włamano się, poprzewracano zawartość bagaży i zabrano wszystko co najwartościowsze. Bywały dni, iż z parkingu nachodziła kilka zgłoszeń. Złodziej kradł o różnych porach dnia, nie darzył specjalną sympatją jakiejś grupy samochodów.

Płut. Polka i kpr. Potaczek szefowi RUSW-u zameldowali, że wcześniej czy później sprawcę dostaną. I tkwili na swym punkcie obserwacyjnym, choć upał mocno dawał się we znaki. Pewnego popołudnia już byli bliscy sukcesu: niemłody mężczyzna zaczął manipulować przy jednym ze stojących na parkingu „maluchów". Został jednak przez kogoś spłoszony i tyle go widziano.

Zapadał już zmierzch. Zdawało się, iż tego dnia ukryci obserwatorzy również nie odniosą sukcesu. Nagle z „Zaborniankі" wyszedł mężczyzna z butelką piwa w ręce i usiadł na przyparkingowym murku. Powoli pociągał z butelki, uważnie lustrując stojące na placu samochody. Sylwetka mężczyzny była już obserwującym znana: to właśnie on przed kilku dniami usiłował sforsować dwuć „maluchu". Po pewnym czasie, rozglądając się uważnie, ruszył „na robotę" Pomanipulował coś przy jednym „maluchu" lecz bezskutecznie. Przystąpił więc do obróbki kolejnego samochodu. Tu może by mu się powiodło, ale znalazło się przy nim dwóch młodych ludzi, którzy zakłrzyli na ręce mężczyzny kajdanki. Zatrzymany podnosił protestować przeciwko jawnemu — szybko przyczepy była dziura, a we wnętrzu bałagan nieziemski. No i oczywiście ubytki, w sprzęcie elektronicznym i modnych „ciuchach" wyszitych z zagranicy. Długo podliczała Bożena G. szkody — wyszło jej kilkaset tysięcy.

Jan A. z dalekiego Melbourne wracała z dziadkami z wycieczki w polskie Tatry. W Zakopanem nabyła jako pamiątkę góralską „ciupagę", aby rówieśnikom na piątym kontynencie opowiedzieć bujne Janeniku — zbójniku, co to bogatym obdierał, a biednym dawał. Współczesny zbójnik drogowy, niepodobny do tamtego, pozbawił jednak Anię przyjemności. Zabrał „ciupagęcę", a przy okazji inne przedmioty.

Franciszek O z Krakowa wybrał się z dziewczyną na dancing do „Zaborniankі", by zaszpanować przed lubą. Od kumpla pożyczył samochód osobowy, żeby uniezależnić się od komunikacji masowej. Tańcował Franciszek z dziewczyną do godzin późnych, a po przyjemnościach bałowych czekały go nieprzyjemności: samochód był otwarty i rozbebeszony, pieniądze zabrane.

Nieprzyjemności pod „Zaborniankа" dotknęły wielu turystów krajowych i zagranicznych. Jan S. bowiem nie przebierał. Fama o współczesnym zbójniku „zakopiańskі" poszła po Rabce. Wśród miejscowych krążyło ostrzeżenie, aby do „Zaborniankі" nie wybierać się samochodem. Kelnerzy sarkali, sarkało kierownictwo lokalu, gdyż utargi dzienne poczęły spadać

Jan S. po zatrzymaniu oświadczył, iż wszystkich swoich czynów dopuścił się z przypadku i zażądał, aby potraktowano to jako okoliczność łagodzącą. Sprawdzono jednak jego życiorys i nie doszukano się tam żadnych przesłanek, które mogły potwierdzić to oświadczenie. Jan S. nigdy w zasadzie nie pracował, zawsze natomiast pasożytował. Kolejna wpadka potwierdziła tylko generalny sposób jego postępowania w życiu.

Głowę do interwencji Jan S. miał nieźlą. Nieraz trafiło się, iż jego lupem padały książeczki oszczędnościowe i dokumenty osobiste. Jan S. zasiadał wówczas w ciszy swojego mieszkania i długo nad tymi dokumentami przesiadował. W efekcie tej precyzyjnej pracy dokumenty nieco zmieniały wygląd. Potem sadził Jan S. na pocztę, gdzie był nieznany, i zawoże tak mile trajlował panienkę z okienka, iż ta jego niecnych przebiegów w dokumentach nie zauważała. Dzięki tej taktyce udało się Janowi S. pobrać w sposób nielegalny trochę pieniędzy.

Lewe zarobki Jana S. zaś najczęściej „na przelew". Biesiadował współczesny zbójnik po różnych restauracjach. Teraz zaś, dzięki uporowi płut. Piotra Polki i kpr. Grzegorza Potaczka, przyjdzie mu zdać rachunek ze zbójnikowania.

NARKOMANI W ZAKOPANEM?

— Narkomani w Zakopanem? Niemożliwe! Chyba, że przyjezdni... Dzieci, młodzież? O tym w ogóle nie może być mowy!

Takie opinie jeszcze do niedawna dominowały pod Giewontem. Dopiero gdy przed rokiem szef zakopiańskiego RUSW, ppłk **Emil Wygoda**, na sesji Rady Narodowej zasygnalizował występowanie sporadycznych przypadków używania środków odurzających, zrobił się mały popłoch, a jedna z nauczycielek zaniepokojona poprosiła o bardziej szczegółowe naświetlenie tematu.

Czy zakopiańskie dzieci rzeczywiście są zagrożone tą plagą? Por. **Józef Klejczyk**, niejako z urzędu zajmujący się tego typu sprawami uważa, że nie należy wyolbrzymiać problemu, ale nie wolno go także bagatelizować.

— Na razie są to rzeczywiście sporadyczne przypadki — przeważają zresztą „wąchacze" a nie „klasyczni" narkomani — ale wychowawcy, opiekunowie, rodzice muszą robić wszystko, aby nie dopuścić do rozszerzania się tego zjawiska.

„Makiwara", inaczej nazywana „kompotem", wyrabiana jest ze słomy makowej. Ze względów klimatycznych maku na Podhalu raczej się nie uprawia. Może to zresztą jest główną przyczyną, że „klasyczna" odmiana narkomanii występuje tu rzadziej niż w innych rejonach kraju? Dwa lata temu zdarzało się przywożenie słomy makowej na te tereny, ale na szczęście już się skończyło. Jednak z braku prawdziwych narkotyków — amatorzy wycieczek w krainę narkotycznych miraży sięgnęli po najprzeróżniejsze substytuty, m. in. leki uspokajające. W jednym tylko przypadku użyto prawdziwych narkotyków: papierosów przywiezionych z Indii — co chyba najsmutniejsze — przez lekkomyślnych rodziców.

W rejestrach zakopiańskiego RUSW figuruje 21 nazwisk młodocianych, bezpośrednio zagrożonych narkomanią, lub zażywających środki odurzające.

Pierwsze informacje o „wąchaczach" dotarły do RUSW w listopadzie 1985 roku. Od sierpnia tegoż roku 4-osobowa grupka 11—15-latków od czasu do czasu urządza sobie „seanse" narkotyczne. Nieco wcześniej 16-letnia dziewczyna zażyła zbyt dużą ilość środków uspokajających. Możliwe, że była to świadoma próba samobójstwa, ponieważ już przedtem dziewczyna dwukrotnie usiłowała targnąć się na swoje życie, a kilkakrotnie dokonywała samookaleczeń. Aby zapobiec ewentualnemu dramatowi, skierowano ją do pogotowia opiekuńczego.

Mniej więcej od marca 1987 roku RUSW notuje coraz liczniejsze przypadki z pogranicza narkomanii (m. in. 8-osobową grupkę uczniów jednej ze szkół średnich, w większości pochodzących ze środowisk inteligenckich). Jak i w poprzednich przypadkach, dzieci te wywodzą się głównie z rodzin rozbitych lub zagrożonych moralnie.

Kilkuosobowa grupka młodzieży (14—15 lat) — uczniów jednej ze szkół podstawowych, 15-letni uczeń ostatniej klasy jednej ze szkół podstawowych, 18-letni uczeń szkoły zasadniczej — to następni z listy, na szczęście niezbyt długiej, przypadków zanotowanych przez zakopiański RUSW.

Na pewno głównym powodem sięgania po narkotyki lub ich substytuty — twierdzi funkcjonariuszka zakopiańskiej milicji, **Małgorzata Kordyl** — jest ciekawość. Na dalszym miejscu postawiłabym chęć zaimponowania rówieśnikom. Ale są przyczyny głębsze. Zauważa się u młodzieży znaczne obniżenie odporności psychicznej. Warto by odpowiedzieć na pytanie, dlaczego tak się dzieje? Bez wyjaśnienia tego do końca nie może być mowy o skutecznej walce z narkomanią.

— Młodzi zbyt często pozostawieni są samym sobie — uzupełnia **Marian Herbowski**, kierownik Izby Dziecka przy RUSW. — Rodzice zagonieni, zaabsorbowani zdobywaniem środków do życia, pogonią za pieniędzmi. Ale nie tylko ich należy obarczać winą. Co robią szkoły, organizacje młodzieżowe? A gdzie są w Zakopanem kluby i dyskoteki dla młodzieży? Dlaczego — jak to niegdyś bywało — trójki klasowe nie kontrolują miejsc publicznych? Młodzież powinna mieć większy dostęp do urządzeń i obiektów rekreacyjnych, a tymczasem nawet przyszkolne boiska świecą po południu pustkami. Brakuje też w Zakopanem jakiegoś ośrodka, który by koordynował pracę z młodzieżą, zapobiegając tym samym demoralizacji. Zainteresowanie szkół tymi problemami jest naprawdę mizerne. Kiedy przed wakacjami zaproponowaliśmy dyrekcjom 45 szkół pogadanki, otrzymaliśmy odpowiedź tylko z jednej szkoły w Kościelisku. Czyżby w pozostałych nie było żadnych trudności wychowawczych?

Trudno jednoznacznie odpowiedzieć na pytanie, czy zakopiańska młodzież zagrożona jest narkomanią, ale problemu tego lekceważyć nie wolno. Współdziałanie rodziców, szkół, organizacji młodzieżowych (jak na razie tylko ZSMP wykazuje aktywność na tym polu), władz miejskich, służby zdrowia — pozwoliłoby uchronić młodzież przed tą plagą. Potrzebna byłaby również działalność profilaktyczna i propagandowa.

WIESŁAW KOSTRZEWA

ANDRZEJ SZYMAŃSKI

NOTATKI ZAKOPIAŃSKIE

Przy kasach kolejowych i autobusowych w zakopiańskim „Orbisie" tłok, kilka kolejek poskręcanych tak, że nie wiadomo, gdzie jedna się zaczyna, a druga kończy. Już o godzinie 12.30 było tu kilka osób, choć sprzedaż zaczyna się dopiero o 14 godz. — *Zrezygnowaliśmy z wycieczki, żeby wreszcie zdobyć miejscówki na „Tatry"* — mówi jeden z kolejkowiczów. — *Wolę postać te dwie czy trzy godziny tutaj, niż potem jechać na stojąco jakimś innym pociągiem.* — Wcale mu się nie dziwię, choć wiele osób mogłoby pomyśleć o powrotnych biletach jeszcze w domu. Przecież każda placówka „Orbisu" w kraju prowadzi rezerwację biletów we wszystkich kierunkach.

Ludzie na ogół cierpliwie wyczekują dotarcia do kasy. Ale gdy ktoś spróbuje wcisnąć się bez kolejki — zaczyna się prawdziwe piekło: poszukiwanie winnych tego, że trzeba stać godzinami zamiast chodzić po górach lub leżeć na słońcu, wieszanie psów na Bogu ducha winnych kolejarzach, przeklinanie nieudolności zakopiańskiej (i nie tylko zakopiańskiej) władzy itp.

— *Najgorzej, gdy zbliża się halny* — stwierdza dyrektor PBP „Orbis", STANISŁAW KWIECIEŃ. — *Ludzie są wówczas podenerwowani i łatwo o „spięcia". A przecież nie nasza to wina, że jest tak, jak jest. Ilość miejscówek nie zaspokaja popytu — to po pierwsze. A po drugie — brakuje kasjerek. W tej chwili mamy 11 kasjerek i kasjerów, a powinniśmy mieć 16. Ta praca wymaga odpowiedniego przeszkolenia i nie możemy zatrudniać pierwszych lepszych osób „z ulicy". Od pół roku nie działa u nas punkt informacji — i do niego nie mamy ludzi. Koniecznie powinniśmy zwiększyć stan zatrudnienia, a to w Zakopanem, gdzie niemal wszędzie brakuje rąk do pracy, jest trudne. W dodatku wystarczy poobserwować choć trochę pracę kasjerek, aby dojść do wniosku, że niełatwe to zajęcie. A już nerwy trzeba mieć naprawdę z żelaza. Toteż ludzie się do tego nie garną.*

● W recepcjach trzech zakopiańskich domów wczasowych — „Panoramy", „Tatr" i „Barbary" — przez całą dobę można kupować artykuły (poza gazetami) które normalnie dostępne są w kioskach „Ruchu", czynnych tylko w ciągu dnia. Wczasowicze są z tego oczywiście bardzo zadowoleni, gdyż nie muszą po byle głupstwo wyskakiwać do kiosku, recepcjonistki również, gdyż mogą zarobić dodatkowy grosz. A dyrekcja zakopiańskiego oddziału „Ruchu" chyba także, gdyż ma większe obroty. Może w ślad tych domów wczasowych poszłyby i inne?

● Muzeum Kornela Makuszyńskiego, będącym filią Muzeum Tatrzańskiego, kieruje MAGDALENA ŻEGLEŃ. Dzieciaki odwiedzające „Opolankę" — dom, w którym mieści się muzeum i w którym niegdyś zamieszkiwał autor „Awantury o Basię" — bardzo sobie chwalą i atmosferę tej placówki, i spotkania wprowadzające je w świat opowieści pana Kornela. Szczególnie mali pacjenci zakopiańskich sanatoriów z wypiekami na twarzyczkach słuchają opowieści o Makuszyńskim, fragmentów jego utworów — nawet tych, które jeszcze nigdy nie były wydane drukiem. Dzieci biorą także udział w konkursach rysunkowych tematycznie związanych z twórczością Makuszyńskiego. Należy tylko przyklasnąć tej inicjatywie Muzeum Tatrzańskiego oraz pomysłodawcy, dyr. EUGENIUSZOWI HALICKIEMU.

DOMOWY KOMPUTER (11)

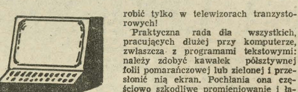

Monitory

Komputery domowe najczęściej współpracują z domowymi telewizorami. I to właśnie jest błąd, i to z wielu powodów. Po pierwsze, na zwykle dużym ekranie obraz komputerowy jest niezbyt ostry i dłuższe wpatrywanie się weń męczy oczy i powoduje ból głowy. Nadto tor fonii nakłada się na tor wizji powodując zniekształcenia w postaci jakby „słojów" drzewnych. Komputery wytwarzają kolorowy obraz w systemie PAL, a w Polsce najpopularniejsze są odbiorniki w systemie SECAM. Komputer może z nimi współpracować, ale uzyskany obraz będzie czarno-biały. Dźwięk, nawet przy współpracy z odbiornikiem czarno-białym, będzie niesłyszalny.

Właściciele kolorowych „Sony", „Sanyo" i innych odbiorników pracujących w systemie PAL-SECAM częściej interesują się video niż komputerami, a jeśli nawet, to i tak ktoś z rodziny przerwie najciekawszą grę, nie mówiąc już o pracy, by obejrzeć „Teleexpress" lub 26. edycję przygód kapitana Klossa.

Najlepiej zatem postarać się o osobny odbiornik dla naszego komputera. Specjalne monitory komputerowe o 13-calowym ekranie są produkowane w Polsce pod nazwą „Neptun 156" (o ekranie zielonym — najlepszym do pracy, czarno-białym lub miodowym), ale w sklepach „Unitry" lub na giełdach bywają rzadko. Może teraz, gdy cenę ich podniesiono z 38 do 52 tysięcy zł., będzie ich więcej. Bez żadnych przeróbek mogą pracować z „Atari", „Commodore" i „Spectrum". Monitory kolorowe marki „Philips" bywają w Składnicy Harcerskiej, w cenie 300 tys. zł, a więc raczej dla zastępowych. Na giełdach ceny nie niższe.

Najczęściej więc jako monitory wykorzystywane są popularne w naszym kraju przenośne telewizory radzieckie „Junost", rzadziej — „Vela". Jakość uzyskiwanego na nich obrazu jest zupełnie wystarczająca. Wadą jest brak dźwięku. Możemy sobie z tym poradzić, łącząc zwykłym kablem magnetofonowym (nawet nie koniecznie stereo) gniazdo monitorowe komputera z jakimkolwiek wzmacniaczem — na przykład radiowym.

Lepszym rozwiązaniem jest niewielka przeróbka telewizora: uprawniony technik za niewygórowaną cenę (ok. 2 tys. zł) dorobi w waszej „Junosti" osobne wejście monitorowe, które poprawi jakość obrazu i uruchomi dźwięk bezpośrednio z telewizora. Przeróbka taka w niczym nie zmienia możliwości odbioru programów telewizyjnych. Uwaga: wejście monitorowe można dorobić tylko w telewizorach tranzystorowych!

Praktyczna rada dla wszystkich, pracujących dłużej przy komputerze, zwłaszcza z programami tekstowymi: należy zdobyć kawałek półsztywnej folii pomarańczowej lub zielonej i przesłonić nią ekran. Pochłania ona częściowo szkodliwe promieniowanie i łagodzi męczący oczy kontrast, nie pogarszając ostrości. Ale w przyszłości należałoby wykosztować się na profesjonalny monitor. (Im szybciej, tym — w naszych stosunkach — taniej!). Nie da się na nim, co prawda, oglądać telewizji, ale „Neptun" może współpracować nie tylko z komputerem, lecz także z coraz popularniejszym u nas video.

RAJTER

BIODEFENSE

(Obrona biologiczna)

Człowiek na stole operacyjnym jest w beznadziejnym stanie. Groźna infekcja zaatakowała wiele jego organów. Już jest za późno na tradycyjne metody leczenia. Pozostał tylko jeden sposób ratowania pacjenta, jedna droga ratunku.

Jako młody lekarz zgadzasz się na eksperyment i wypijając tajemniczą miksturę przeistaczasz się w mikroskopijnego leukocyta — białe ciałko krwi, zdolne do pełzania wewnątrz komórek chorego i pochłaniania zagrażających jego życiu zarazków. Decydujesz się zaryzykować własnym życiem i przeniknąć do krwi chorego, by tam stoczyć ciężką walkę o życie twojego pacjenta.

Na ekranie pokazuje się sylwetka leżącego człowieka, podzielona na niewielkie kwadraty. Sterując joystickiem szybko przebiegasz poszczególne kwadraty — komórki, aż znajdziesz taką, która jest oznaczona krzyżykiem. To właśnie miejsce zaatakowane przez chorobę. Naciskając FIRE dostajesz się do wnętrza komórki i tam rozpoczynasz walkę z bakteriami.

Możesz pochłonąć nieograniczoną liczbę maleńkich przecinkowców, ale większych — pałeczkowców — tylko dwa, jeden po drugim. Pierwszy zmienia twój kolor na szary i spowalnia twoje ruchy Drugi — zmienia kolor na ciemny i prawie całkowicie pozbawia cię zdolności poruszania się. Trzeci — zabija cię...

Na szczęście, twój organizm ma zdolność szybkiego oczyszczania się. Po połknięciu pałeczkowca, strawisz go po kilku chwilach pod warunkiem, że nie przyplącze się do ciebie następny.

Bakterie, jak to bakterie, rozmnażają się przez podział, a twój chory pacjent cierpi i stopniowo podnosi się jego temperatura. Gdy oczyścisz chorą komórkę z wszystkich zarazków — szukaj znanym już sposobem następnego chorego miejsca. Z każdym etapem (jest ich cztery) będzie ci coraz trudniej, tym bardziej, że od trzeciego towarzyszy ci bakteria-krzyżyk, której dotknięcie unicestwia cię od razu. Na szczęście, twemu choremu ona nie szkodzi i nie musisz jej zjadać — wystarczy, byś trzymał się od niej z daleka.

Co 1000 punktów otrzymujesz premię w postaci szczepionki, która wstrzyknięta (FIRE) do komórki niemal całkowicie redukuje ilość groźnych zarazków. Na „krzyżyk", niestety, nie działa.

Gdy pokonasz infekcję i uratujesz człowieka, wracasz do swojej zwykłej postaci i otrzymujesz honorarium w wysokości, pozwalającej na zakup komputera „Mackintosh" II.

Powodzenia!

SERGIUSZ PINKWART

LUCYNA KASZUBA

PODNIEBNY PATROL

Jest sobota, godzina **10.30. Na** lotnisku Aeroklubu Podhalańskiego w Łososinie Dolnej ożywienie. Młodzież przygotowuje do lotu szybowce, przy jednym z „Puchaczy” krząta się kilkunastoletnia dziewczyna, „jedynaczka” w grupie szybowników. Przyjechałam tu z funkcjonariuszami z Wydziału Ruchu Drogowego WUSW: mł. chor. **Mieczysławem Drożdżem** i ppor. **Andrzejem Sewiołem**, by wziąć udział w jednym z patrolowych lotów, jakie w okresie wakacji organizuje WUSW w ramach akcji „bezpieczny wypoczynek”. Samolotowe zwiady przeprowadzano już w poprzednich latach, lecz sporadycznie. W tym roku, dzięki pomocy sądeckiego Oddziału PZU, który finansuje to przedsięwzięcie (jeden lot kosztuje 15 tys. zł, czasem więcej) akcje te można przeprowadzać systematycznie. Inicjatorem jest szef Wydziału Ruchu Drogowego, ppłk **Edward Szela**. Już widać efekty: kierowcy jeżdżą ostrożniej. Wiedzą, że o każdym ich wykroczeniu dostrzeżonym przez patrol lotniczy — są natychmiast informowani funkcjonariusze pełniący służbę drogową na ziemi.

Przygotowuje się do startu nasza „Wilga”, czteroosobowy samolocik przypominający kształtem dziwnego żółtego owada. Za sterami siada wytrawny pilot z czterdziestoletnią praktyką, kierownik Aeroklubu, kpt. **Józef Smaga**. Ppor. Sewioł nakłada słuchawki. Będzie się porozumiewał z kolegami dyżurującymi przy szosach. Obok mnie siada starszy inspektor PZU, **Mieczysław Gródek**. Zapinamy pasy. Krótkie kołowanie i już wznosimy się nad ziemię. W dole zostają kolorowe pasma pól i rozrzucone wśród nich domki Łososiny. Wyglądają jak architektoniczne modele na wielkiej makiecie. Gdy samolot się obniża, możemy dostrzec nawet, którzy z gospodarzy mają nieporządek na podwórzach. Lecimy nad jeziorem Rożnowskim. Stan wody bardzo niski. Część dawniej zalanego obszaru przemieniła się w bagniste łąki. Cienkimi strugami spływa woda ze ściany zapory. Kierujemy się ku Łososince. Lecimy w górę rzeczki. Porośnięta niemal czarnymi glonami, które w wielu miejscach przebijają się na powierzchnię i tworzą gęsty kożuch, „ozdobiona” zielonawo-żółtawymi pasmami przy brzegach, nie odstrasza amatorów wypoczynku. Widzimy parkujące nad wodą samochody. Zdarzają się także odważni próbujący... kąpieli. Kilku naiwnych wędkarzy cierpliwie czeka na łup. Być może z ziemi Łososinka wygląda nieco lepiej. Miejscami glony znikają. Przy brzegach rozciągają się żwirowiska. Ciemnieją doły po wybranym żwirze, połyskuje w nich mętna woda. Bez trudu można dostrzec w rzeczce wyjeżdżone przez wiele kół koleiny. Tędy przeprawiają się ciągniki i ciężarówki. Właśnie zauważamy koparkę, której szufla ładuje na wywrotkę porcje żwiru. Przelatujemy bardzo nisko, by sprawdzić, czy pracujący przy maszynie ludzie nie działają „na dziko”. Wszystko w porządku. Pomiędzy Łososiną a gminą Lubień istnieje od lat legalne żwirowisko. Nie tylko tutaj jednak pozyskuje się ten budowlany surowiec. Także dalej pojawiają się doły niszczące koryto Łosinki, zakłócające jej bieg.

Na szosach spokojnie, niewielki ruch. Suną powoli samochody osobowe, niektóre z przyczepami, autobusy PKS i turystyczne. Wloką się ciężarówki wyładowane piaskiem i sypiące za sobą ociekający wodą żwir. Pilot i podporucznik uśmiechają się porozumiewawczo; warkot samolotu nad szosami ma czarodziejskie działanie — samochody zwalniają. Kierowcy wiedzą z informacji prasowych, że to patrolowe loty.

Zbliżamy się do Tymbarku. Im bliżej Zakładów Przetwórstwa Owocowo-Warzywnego, tym Łososinka brudniejsza. Teraz ma kolor kawy z mlekiem. Widzimy duże okrągłe zbiorniki wypełnione po brzegi zaschniętą popękaną masą błota. Domyślamy się, że to urządzenia oczyszczalni, która nie wygląda na czynną.

Jesteśmy nad lasami koło Mszany Dolnej. Pięknie wygląda w oddali miasto z wysoką wieżą kościoła, jak z barwnej pocztówki. Kierujemy się w stronę dużego skupiska leśnego. Spomiędzy drzew wysoko w górę bucha dym. Skręcamy i opuszczamy się na wierzchołki jodeł. Pomiędzy nimi widać ludzkie postacie wokół ogniska. Palenisko obwałowane wprawdzie kamieniami, lecz pnie drzew są niepokojąco blisko ognia. Dziwi lekkomyślność ludzi. Wystarczy, by zerwał się wiatr i nieszczęście gotowe. Odwiedzamy jeszcze kilka podobnych miejsc. Wycieczkowicze beztrosko bawią się w posiady przy ogniskach w głębi lasów, w trudno dostępnych miejscach.

Jesteśmy koło Limanowej. Zielone ściany drzew tylko z daleka wyglądają imponująco. Z bliska można dostrzec, iż większość leśnych obszarów to młodniki. Wysokie jodły tworzą niewielkie enklawy, niekiedy wciśnięte pomiędzy uprawne pola. Zbocza niektórych wzgórz jakby wygolone brzytwą. Coraz wyżej wyrastają domki.

Mijamy Chabówkę. Na szosie w kierunku Zakopanego większy ruch. Grupka autostopowiczów daremnie stara się zatrzymać jadące samochody. Pewnie poczekają jeszcze długo. Pozdrawiają nas wymachując energicznie rękami. Widać już Nowy Targ. W pobliżu dworca PKS wznosi się budowany już od dłuższego czasu hotel. Wygląda na niemal ukończony. Zbliżamy się nad osiedle domków jednorodzinnych. Są w trakcie budowy. Ustawione w szeregach, po kilka naraz potworkowate budyneczki ze sterczącymi szpiczastymi dachami, z okapami schodzącymi poniżej okien pięterek. Może z ziemi wyglądają ładniej. Zawracamy. Po drugiej stronie Białego Dunajca toczącego dość mętne wody, przed mostem — osiedle piętrowych willi. Tuż przy powierzchni rzeki spust ścieku; woda zabarwia się w tym miejscu na biało, jak po wielkim praniu. Szkoda, że na podobny lot nie dali się dotychczas namówić przedstawiciele Wydziału Ochrony Środowiska Urzędu Wojewódzkiego, z góry mieliby okazję niejedno dostrzec.

Zawracamy. Jeszcze ostatnie spojrzenie na Nowy Targ, na wynurzające się z mgieł na horyzoncie Tatry. Pięknie wygląda ziemia z lotu ptaka: skryte w zieleni domki, wielobarwne pola, ciemniejące lasy, plamy światła i cienia, jak na niezwykłym obrazie. Łatwo także spostrzec zjawisko niepokojące: zwężające się z każdym rokiem nurty rzek i potoków, coraz mniejsza ilość starych drzew chroniących brzegi. W jednym miejscu widzimy nawet dopiero co ścięte drzewo z ogromną koroną gałęzi, bieli się koniuszek uciętego pnia, liście jeszcze świeże. Teraz pełni rolę kładki przez strumyk. Wioski i miasteczka, z daleka — wymuskane, schludne, połyskujące świeżą blachą dachów i czerwieniejące jeszcze nie przydymioną dachówką oraz eternitem, z bliska przypominają place budowy. W ciągu jednej minuty lotu naliczyłam około 20 nowo budowanych domów w którejś z mijanych wsi. Dobrze, że mimo trudności wielu ludzi buduje sobie nowe siedziby. Szkoda tylko, że niewielu martwi stan naturalnego środowiska. Świadczą o tym ścieki kierowane wprost do rzek i potoków, beztroskie niszczenie drzewostanu, wycinanego i zagrożonego pożarami. Po zakończeniu akcji „bezpieczny wypoczynek” powędrują raporty i pisma do urzędów, naczelników. Oby odniosły skutek! Kierowcom nie można było dziś nic zarzucić. Podczas naszego patrolu, w czasie którego przelecieliśmy około 300 km, zauważyliśmy jedynie dwa wykroczenia drogowe: próby niewłaściwego wyprzedzania.

Niestety, jak dowiedziałam się później — w ciągu ostatniego weekendu w całym regionie **wydarzyło się 11 wypadków drogowych, w których zostało rannych 13 osób. W Nowym Sączu**, Gorlicach, Zakopanem i Słopnicach ofiarami padły dzieci oraz motocykliści. Przyczyna — brak opieki dorosłych, nadmierna szybkość, nieuwaga przechodniów i kierowców w najbardziej newralgicznych punktach miast — na skrzyżowaniach. Trudno postawić przy każdym miejskim czy wiejskim skrzyżowaniu radiowóz, wystarczyłoby trochę rozsądku. Na szosach, którymi zdążali turyści odwiedzający nasz region i rodziny szukające odpoczynku na „łonie natury”, było spokojnie.

NOPR radzi

Na terenach górskich i podgórskich racjonalnie użytkowane łąki i pastwiska dostarczają 2-krotnie więcej jednostek pokarmowych niż produkcja na gruntach ornych. Warunki klimatyczno-glebowe w tych terenach są mało korzystne dla upraw polowych. natomiast może tu być źródło taniej paszy pozyskiwanej z użytków zielonych.

Do czynników poważnie ograniczających produkcję zielonki z łąk i pastwisk górskich należą między innymi:

— mała miąższość gleb, niska zawartość w niej składników pokarmowych oraz silna kwasowość,

— opóźnienie wegetacji wiosną i szybsze jej zakończenie jesienią,

— zastoiska mrozowe,

— utrudniony lub niemożliwy dojazd do użytków zielonych ze względu na brak dróg lub zły ich stan,

— stoczystość obiektów.

Wysoki plon z łąk i pastwisk zależy przede wszystkim od właściwego doboru mieszanek.

Mieszanki traw i motylkowych. Zaniechać należy wysiewu traw i motylkowych pochodzących z odległych północnych województw, ponieważ nie są one dostosowane do panującego u nas ostrego klimatu i plonują niżej niż trawy pochodzące z województw sąsiednich. Jako zasadę należy przyjąć stosowanie zróżnicowanych składów mieszanek w zależności od: rodzaju i wilgotności gleb; wysokości terenu, gdzie wysiewamy mieszankę, nad poziomem morza; przeznaczenia mieszanki.

NOPR, na podstawie wieloletnich doświadczeń instytutów i placówek naukowych — potwierdzonych w praktyce — oraz w oparciu o własne obserwacje, zaleca stosowanie następujących zestawów mieszanek traw i motylkowych **w zależności od położenia, wilgotności gleb i przeznaczenia** (ilość podajemy w kilogramach na hektar).

Użytkowanie kośne.

Gleby wilgotne i średnio wilgotne, stoki o wystawie północnej, łąki położone na wysokości do 700 m n.p.m.: kostrzewa łąkowa — 21, tymotka łąkowa — 6, wiechlina łąkowa — 7, mietlica biaława — 2, komonica zwyczajna — 2, koniczyna szwedzka — 3, koniczyna czerwona — 1 i życica wielokwiatowa — 2; razem — 44.

Gleby średnio suche, stoki o wystawie południowej, łąki położone na wysokości do 700 m n.p.m.: kostrzewa łąkowa — 7, wiechlina łąkowa — 5, tymoka łąkowa — 2, kostrzewa czerwona — 4, kupkówka pospolita — 10, rajgras wyniosły — 8, stokłosa bezostna — 4, komonica zwyczajna — 2, koniczyna czerwona — 3 i życica wielokwiatowa — 2; razem — 47.

Użytkowanie pastwiskowe.

Gleby wilgotne i średniowilgotne, stoki o wystawie północnej, pastwiska położone na wysokości 700 m n.p.m.: kostrzewa łąkowa — 10, tymotka łąkowa — 3, mietlica biaława — 1, życica trwała — 10, wiechlina łąkowa — 5, kostrzewa czerwona — 2, komonica zwyczajna — 3, koniczyna biała — 3, koniczyna szwedzka — 2 i życica wielokwiatowa — 2; razem — 41.

Gleby średnio suche, stoki o wystawie południowej, pastwiska położone na wysokości do 700 m n.p.m.: kostrzewa łąkowa — 10, tymotka łąkowa — 2, życica trwała — 11, wiechlina łąkowa — 5, kostrzewa czerwona — 12, kupkówka pospolita — 2, komonica zwyczajna — 3, koniczyna biała — 2, koniczyna czerwona — 2 i życica wielokwiatowa — 2; razem — 51.

Użytkowanie kośno-pastwiskowe.

Różne uwilgotnienie gleb.

Gleby wilgotne: kostrzewa łąkowa — 12, wyczyniec łąkowy — 2, tymotka łąkowa — 2, kupkówka pospolita — 1, mietlica biaława — 2, wiechlina łąkowa — 4, życica trwała — 4, komonica zwyczajna — 3 i koniczyna czerwona — 2; razem 32.

Gleby średnio-wilgotne: kostrzewa łąkowa — 11, tymotka łąkowa — 3, kupkówka pospolita — 2, mietlica biaława — 1, życica trwała — 3, wiechlina łąkowa — 3, koniczyna czerwona — 5, koniczyna biała — 2 i komonica zwyczajna — 3; razem — 33.

Gleby suche: kostrzewa łąkowa — 7, kupkówka pospolita — 3, stokłosa bezostna — 7, wiechlina łąkowa — 4, życica trwała — 3, komonica zwyczajna — 2, kostrzewa czerwona — 7, koniczyna biała — 2, koniczyna czerwona — 1; razem — 36.

Gleby optymalno-wilgotne: kostrzewa łąkowa — 6, wiechlina łąkowa — 6, kostrzewa czerwona — 6, komonica zwyczajna — 3, koniczyna czerwona — 3; razem — 38.

Opracowała

dr inż. BARBARA GODFREYOW

W numerze 30 „Dunajca” red. Andrzej Szymański pisze o zazdrości mieszkańców stolicy Tatr na wiadomość, że w Nowym Sączu Urząd Pocztowy jest czynny w niedziele i święta od rana do późnego wieczora. A co mają powiedzieć mieszkańcy Kościeliska? Po śmierci doręczyciela Stanisława Bukowskiego w 1985 r. okazało się, że był on jedyną podporą całej poczty w Kościelisku. Później przez wiele miesięcy musiałem sam odbierać korespondencję. Często jeździłem bezskutecznie, gdyż tygodniami nie było komu posortować listów i czasopism. Tymczasem następowały kolejne podwyżki opłat pocztowych, podobno w celu poprawy funkcjonowania tej instytucji...

Potem wszystko zaczęło funkcjonować w miarę dobrze, nawet znaleźli się doręczyciele... Niestety, gdy pani naczelnik poszła na urlop macierzyński, sytuacja na poczcie w Kościelisku wróciła do starego. A już od tygodnia stała się wręcz skandaliczna. Z braku doręczycieli, mieszkańcy Kościeliska zmuszeni są sami odbierać listy na poczcie. Całe paczki listów są wydawane ludziom, którzy mają z nich wygrzebywać te skierowane do siebie. Czy tylko te?... Obawiając się, że listy kierowane do mnie od inwalidów z całej Polski, oraz inna korespondencja (a wśród tego czasopisma) — giną, postanowiłem to skontrolować i wysłałem sam do siebie list z Zakopanego. Nie dotarł!

— *My jesteśmy od okienka, a nie od listów* — uniosła się „panienka z okienka”, gdy interweniowałem. Toż to całkowity brak odpowiedzialności za powierzoną poczcie, przecież nie za darmo, przesyłkę!

Stoimy przed drugim etapem reformy i dalszymi podwyżkami opłat pocztowych, które jakoś ciągle są nieopłacalne. Pocztowemu monopoliście uporczywie nie chce się lepiej zorganizować pracy, nie może, nie daje rady... Kiedy zatem klienci poczty mogą liczyć na rzetelne jej funkcjonowanie?

ZYGFRYD DZIEKAŃSKI

JAN POPRAWA

GWIAZDOZBIÓR

Porębski

Dotychczasowi bohaterowie „Gwiazdozbioru" rekrutowali się głównie z kręgu profesjonalnej estrady piosenkarskiej. Piosenka odgrywa dominującą rolę we współczesnej kulturze popularnej — nic też dziwnego, że jej najwybitniejsi przedstawiciele zażywają szczególnej popularności. Są wszakże i zjawiska stosunkowo mało znane. Są enklawy środowiskowe, są gatunki dostępne wyłącznie wąskim grupom wtajemniczonych...

Takim zjawiskiem jest „piosenka żeglarska". Ostatnie lata przyniosły jej niezwykły wprost rozwój. Niezwykłe są też osiągnięcia artystyczne ludzi pozostających pozornie w kręgu towarzysko-obyczajowym odgrodzonym od „zwykłego przechodnia" progiem szczególnego wtajemniczenia, oryginalnego przeżycia, czy wreszcie dumnego snobizmu. Odbywający się wiosną w Krakowie festiwal „szanty" (termin ten oznacza gatunek starych pieśni, towarzyszących marynarzom w pracy na żaglowcach) jest prawdziwym misterium śpiewania, tłumnie obleganym i zaznającym legendy zgoła międzynarodowej. W tym roku na przykład — con amore — przyjechali nań zaśpiewać miłośnicy „piosenki żeglarskiej" z Wielkiej Brytanii, Kanady czy Niemiec. A przecież jest jeszcze wspaniały „Wiatrak" w Świnoujściu, jest warszawski „Złoty Kur", są przeglądy w Gdyni, Ursusie, Tarnowie — i bodaj wszędzie gdzie zgromadziło się choć kilku fanatyków żeglowania. Zdaje się nawet, że wielu uczestników owych przeglądów żeglowanie zna właśnie za pośrednictwem piosenek...

Kiedy zjawisko ma rzeczywisty rezonans społeczny, kiedy towarzyszy mu tłumne zainteresowanie publiczności — wówczas należy się spodziewać efektów artystycznych. Fenomen rozkwitu „piosenki żeglarskiej" w Polsce, w ostatnich latach — wiąże się niechybnie z twórczą działalnością Jerzego Porębskiego.

Nie jest piosenkarzem, nie ma ambicji estradowych. Pracuje jako uczony, doktor biologii. W Świnoujściu, gdzie zatrzymał się po ukończeniu studiów w Uniwersytecie Jagiellońskim, zażywa powagi należnej ludziom związanym z morzem. Pływa bowiem po morzach i oceanach, przeważnie z wyprawami naukowymi. Przedłużające się rejsy, bezmiar wrażeń, gryząca tęsknota — to wszystko legło pewnie u podstaw pierwszych amatorskich prób doktora Porębskiego w dziedzinie piosenki. Podczas rejsów napisał kilka utworów, zanucił je, towarzysząc sobie na gitarze. Spodobały się — więc napisał jeszcze inne. A kiedy po kilku latach przyjechał na Mazury — zdumiał się. Przy wszystkich mazurskich ogniskach, na wszystkich łódkach śpiewano jego własne piosenki! Śpiewano „Ciałko" i „Jejku jejku" śpiewano „Grytviken" i „Gdzie ta keja", nucono „Starego burtowca" oraz „Kupiłem sobie za dwa dolary uśmiech barmanki w Vancouver"...

Owo niezwykłe — choć tylko środowiskowe jeszcze — rozpowszechnienie piosenek Jerzego Porębskiego jest świadectwem ich wysokiej jakości. Artystycznej, ale nie tylko. Od artystycznej zacznijmy.

Doktor Porębski — co pamiętają tylko nieliczni — ma ładną (choć też amatorską) przeszłość jazzową. Grał kiedyś na trąbce jazz tradycyjny, prezesował nawet jednemu z krakowskich klubów jazzowych. Ma więc wystarczające przygotowanie muzyczne, by swe piosenki skonstruować zgodnie z regułami sztuki. Ma też wyjątkowy zmysł melodyczny, w związku z czym jego utwory „wpadają w ucho", dają się zanucić, powtórzyć. Są też atrakcyjnie zrytmizowane, dają wielkie możliwości interpretacyjne — zarówno dla starszych, ceniących głównie harmonię i melodie — jak i dla młodych, ekscytujących się rytmem. Ale nie tylko muzyka stanowi o wartości piosenek doktora Porębskiego. Potrafił on bowiem zakląć w nich autentyczne przeżycie. Potrafił — a to już niebagatelna jakość literacka — opisać świat pozornie egzotyczny i niedostępny. W sposób taki, że nawet laikowi świat ów zdaje się bliski. W dodatku Porębski umiał zaadaptować w twórczy sposób ów niezwykły język, nawet żargon marynarzy i rybaków. Wszystkie te „keje" i „kitoboje", cały zawarty w języku morski obyczaj. To, że się nie wymienia pewnych słów — by nie obudzić np. wiatru. I to, że się nie wstydzi pewnych najprostszych uczuć: tęsknoty, nostalgii, smutku.

Piosenki Jerzego Porębskiego są najwybitniejszym osiągnięciem bardzo interesującego ruchu artystycznego, jaki uformował się pod wpływem narastającego zainteresowania „szantami" i kulturą morską. Pisze podobne piosenki wielu autorów, śpiewa jeszcze więcej ludzi zaczarowanych wodą, wiatrem i słońcem, przygodą.

Ale Porębski jest tylko jeden. Popularność jego piosenek staje się dopiero wtedy zupełnie zrozumiała, gdy posłyszy się je w autorskim wykonaniu. Przystojny czterdziestoparoletni mężczyzna o delikatnym, jakby kryjącym zakłopotanie, i jakby trochę autoironicznym uśmiechu, o pięknym męskim głosie, o niezrównanej autentycznej muzykalności — śpiewa je najlepiej. Błyszczy wówczas. Jest prawdziwą gwiazdą, gwiazdą morza — i naszego gwiazdozbioru.

KRAM-owe obrachunki

XIV Konfrontacje Ruchu Artystycznego Młodzieży w Myślcu nad Popradem przeszły już do historii. Młodzież rozjechała się do domów, pełna wrażeń nie tylko artystycznych. Nadszedł czas rzetelnego rozliczenia tego co było i energicznego działania, jeśli ma dojść do piętnastych KRAM-owych spotkań nad Popradem.

W ostatnich latach obserwowaliśmy powolne, ale widoczne obniżanie się rangi imprezy, która chciałaby mieć wymiar ogólnopolski. Do grzechów, które ciążą nad KRAM-em, należą: nieodpowiedni nabór uczestników, błędy organizacyjne, odejście od założeń programowych.

Zapomniano o celach, dla których czternaście lat temu powołano KRAM. Zarząd Wojewódzki ZSMP został osamotniony w rozwiązywaniu problemów związanych z tak dużym przedsięwzięciem. Starych KRAM-owiczów ubywa z każdym rokiem, nowych coraz mniej. Jeszcze kilka lat temu do Myślca przybywało około tysiąca dziewcząt i chłopców — w bieżącym roku było ich niespełna dwieście.

Przypadkowość rekrutacji stawia pod znakiem zapytania sens imprezy. Rodzi frustrację, niezadowolenie, liczne opinie krzywdzące KRAM. Doktor KRZYSZTOF HEERING — szef rady programowej, jedyny, który prowadzi systematyczny nabór do grupy muzyków, twierdzi: — *Do Myślca nie powinni przyjeżdżać ludzie bez choćby podstawowych „ostróg artystycznych". Tymczasem ostatnio „muzycy" zjawiają się tu bez piosenek, młodzi poeci bez swoich utworów, fotograficy bez sprzętu.*

KRAM ma być ważnym szczeblem w artystycznym rozwoju młodego człowieka. Tymczasem w rozmowach z uczestnikami wychodzi na jaw, że o imprezie dowiadują się przypadkiem, w ostatniej chwili. Zarządy wojewódzkie ZSMP nie organizują przedkramowych przeglądów, konkursów, festiwali.

Całe szczęście, że wciąż do Myślca przyjeżdżają znakomici facowcy: RYSZARD SYGITOWICZ — jeden z najlepszych gitarzystów w Polsce, MICHAŁ USZCZYŃSKI (Lonstar) — czołowy muzyk country, IWONA OMĄKOWSKA — aktorka teatru im. Juliusza Słowackiego w Krakowie, HENRYK MOSNA — kompozytor i aranżer, WALDEMAR PARZYŃSKI — muzyk i dyrygent, JANUSZ KONDRATOWICZ — poeta, autor piosenek. Przyjeżdżają na KRAM nie dla pieniędzy, bo gdzie indziej dostaliby o wiele więcej. Przyjeżdżają z sentymentu dla tej imprezy, z którą łączy ich mnóstwo wspaniałych wspomnień. Tym bardziej przykro, że nie mają z kim pracować. Szkoda straconego czasu, szkoda pieniędzy, szkoda zmarnowanego zapału.

Założenia programowe KRAM-u z biegiem lat po prostu się zestarzały. Potrzeba nowych idei, impulsów, pomysłów. Zasadniczy wpływ na to winien mieć oczywiście Zarząd Wojewódzki ZSMP w Nowym Sączu. Tradycyjnie komendantem KRAM-u jest pracownik etatowy tutejszej organizacji. Kadrę techniczną również stanowią jej pracownicy etatowi. Wszystkie nitki zbiegają się więc w budynku przy ulicy Narutowicza. Centrala — czyli Zarząd Główny ZSMP — patronuje kramowiczom tylko na papierze, pozostawiając Nowy Sącz z workiem problemów, które powinny być rozwiązane „na górze". Brakuje współdziałania, koordynacji. Ba — w bieżącym roku zorganizowano nawet w kraju konkurencyjne imprezy. Rozbito siły i środki, zwłaszcza finansowe, które i tak są ubogie. Nie rozpropagowano KRAM-u w czasopismach młodzieżowych, w instancjach. Kto tak naprawdę wiedział, że coś się dzieje w Myślcu nad Popradem?

O randze imprezy decydują detale. Tymczasem co roku brakuje wody, spóźniają się autobusy, nie zawsze miła jest obsługa. Co roku narzekamy na długie kolejki po posiłki, kiepskie warunki bytowe. Czy naprawdę nie można tych niedoróbek wyeliminować? Czy nie można zapobiec dekapitalizacji bazy?

Biuro turystyczne „Juventur" nie jest w stanie utrzymać ośrodka w Myślcu na należytym poziomie technicznym. Byli tam dyrektorzy z centrali, którzy obiecywali pomoc w opracowaniu dokumentacji, w rozbudowie itp. I na tym się skończyło. A miejscowi szarpią się, bo to zmyje mostek, to trzeba załatwić papę i zreperować kanalizację...

Jakie wnioski? Przede wszystkim pora na radykalne decyzje. Byleby to jednak nie było wylanie dziecka z kąpielą! KRAM to impreza, która może dać i dawała uzdolnionej młodzieży szansę rozwijania twórczych umiejętności. O kolejnym KRAM-ie należy myśleć już teraz. W najbliższych miesiącach powołać radę programową która na serio zajmie się właściwym naborem uczestników, usunięciem niedoróbek, opracowaniem założeń programowych na miarę końca lat osiemdziesiątych. Należy uderzyć się w piersi i podjąć zdecydowane kroki, przede wszystkim przy ulicy Narutowicza. Konfrontacje Ruchu Artystycznego Młodzieży są zbyt cenną inicjatywą, aby ją rozmienić na drobne i tak po prostu rozwiązać. Występujące problemy nie mogą załamywać, a wręcz przeciwnie — powinny mobilizować do rzetelniejszej pracy. Aby KRAM trwał, obrastał kolejnymi legendami i twórczymi przedsięwzięciami.

— Tekst i zdjęcia: JERZY CEBULA

MACIEJ PINKWART

LEKTURY

W diasporze

O ludności łemkowskiej, zamieszkującej polskie ziemie, przez wiele lat nie mówiono prawie wcale. Problem mniejszości narodowych uważany był za kwestię wstydliwą lub zgoła nie istniejącą. Pamiętam, że na lekcjach historii jeszcze ćwierć wieku temu przekonywano mnie o tym, iż „za sanacji" — którym to terminem określano bezsensownie całość okresu międzywojennego — Polska była słaba dlatego, że rządzili nią wojskowi, w kraju było wiele mniejszości narodowych, a granice nie miały kształtu zbliżonego do koła. Po wojnie zaś rządzi lud, a w sprawiedliwie ukształtowanych granicach żyje monolityczny, jedynie polski naród.

Zarówno zmiana granic, jak i „rozwiązanie" problemu mniejszości narodowych podarowała nam Historia wskutek wojny. Wojny, którą przecież określamy jako nieszczęście ludzkości. Czy więc kwestia mniejszości narodowych jest rozwiązana ku pożytkowi Polski?

Państw jednolitych narodowo jest na świecie niewiele, a harmonijne współżycie rozmaitych nacji, kultur, języków i religii pod — dobrowolnie akceptowanym! — wspólnym sztandarem jest jednym z przejawów prawidłowo funkcjonującej demokracji.

Może jako przejaw tych zdrowych dążności demokratycznych pojawiła się w naszym kraju moda na mniejszości narodowe: na wiedzę o nich, na samowiedzę, na badanie różnic i pokrewieństw kulturowych. Zaczęto poszukiwać śladów narodowości, zamieszkujących Drugą Rzeczpospolitą, a nawet tych, które współtworzyły Polskę jeszcze przedrozbiorową. Przez łamy czasopism społecznych i politycznych przetoczyła się fala dyskusji o mniejszościach żydowskiej i niemieckiej, pruskiej, litewskiej i tatarskiej; może w najmniejszym stopniu rozważano problemy ludów, docierających do nas z południa i południowego wschodu.

O tym, jak mało prawdziwe były dawniejsze próby niezauważania istnienia mniejszości narodowych, niech świadczy choćby fakt, iż niektóre z nich (żydowska, ukraińska i białoruska, słowacka i czeska) mają własną, legalnie w Polsce wydawaną prasę. O tym, jak bardzo sprawa ta porusza umysły obywateli naszego kraju, nich świad-

Przyjaciel skalnej ziemi

Pięknie opowiadał **TADEUSZ STAICH** o górach, o ludziach wyrosłych w cieniu tatrzańskich szczytów, o dawnej ludowej kulturze i tych, którzy nadają jej dalszy ciąg w pisanych gwarą utworach Gdy czytał strofy wierszy Stanisława Nędzy-Kubińca, Hanki Nowobielskiej, ukazujące skalistą ziemię i tęsknoty jej mieszkańców jakby wypowiadał własne słowa, tyle że spisane ręką innych poetów. Takim zapamiętałam go ze spotkania podczas którejś „Jesieni Tatrzańskiej", gdy w szczelnie wypełnionej słuchaczami salce zakopiańskiego „Empiku" mówił o poezji.

Góry były mu najbliższe, choć urodził się w Bobrku koło Oświęcimia, skąd trudno dojrzeć najwyższe nawet szczyty. Jako kilkunastoletni chłopiec, w latach dwudziestych spędzał corocznie wakacje w Klimkówce, u stryja Władysława Staicha, proboszcza i pisarza, który w tym czasie rekonstruował biografię słynnego Brata Alberta. Wtedy to zaczął poznawać góry, być może także połknął bakcyla pisarstwa. Tuż przed wybuchem wojny w 1939 roku wydał pierwszy tom wierszy „Deszcz za oknami"; w zbiorze znalazł się także cykl utworów poświęconych Tatrom. Potem już Podhale, Spisz i Orawa stały się jego wybraną małą ojczyzną.

Miał niezwykle bogaty życiorys. Podczas okupacji pracował wraz z poetą, Eugeniuszem Kolanką, w redakcji pisma Młodzieży Polskiej „Watra". Jego przyjaciel zginął z rąk hitlerowców po jednej z konspiracyjnych akcji. Z Karolem Wojtyłą zetknął się w konspiracyjnym Teatrze Rapsodycznym, prowadzonym przez Mieczysława Kotlarczyka Poezja i teatr, góry i folklor miały już pozostać jego umiłowanymi pasjami, którym poświęcił całe życie.

Publicysta rozgłośni Polskiego Radia w Krakowie i Katowicach, autor licznych artykułów, szkiców i wierszy, felietonista „Tempa" (podpisujący się pseudonimem „Gazda Benefis"), redaktor naczelny „Podhalanki" wydawanej przez Związek Podhalan, wyróżniony przez Związek tytułem honorowego członka — pozostawił bogatą, rozsianą po różnych czasopismach spuściznę. Pozostał także w pamięci ludzi gór jako niezrównany przewodnik. Niemal trzydzieści lat temu ukazała się „przewodnicka biblia" napisana przez Staicha wspólnie z Hanną Pieńkowską „Drogami skalnej ziemi". Współautorka, nieżyjąca już miłośniczka ludowej sztuki naszego regionu, dawniej — wojewódzki konserwator zabytków w Krakowie, krok po kroku wraz z poetą-przewodnikiem przemierzyła Podhale, Spisz, Orawę i Ziemię Pienińską. Powstała książka niezwykła, przybliżająca najcenniejsze zabytki, dzieła dawnych i współczesnych mistrzów, często niedostrzegane, skryte w cieniu wnętrz starych kościółków i domostw, dotycząca również trasy górskich wędrówek. Ludzie, przyroda i sztuka tworzą tu jedną całość. Kto nie potrafi odczuwać piękna spoglądając na wierchy, słuchając gadek ludowych artystów, poznając zachowane z przeszłości obrzędy, do tego nie przemówi również wtopiona w pejzaż architektura. Szkoda, że napisana żywym, barwnym językiem książka nie doczekała się dotychczas wznowienia.

Tadeusz Staich przez wiele lat pracował jako przewodnik tatrzański, prowadził kursy przewodnickie uczył młodych miłości do gór, poddania się rytmowi oddechu skalnej ziemi, z którego potrafił wyłowić głosy przeszłości. W zbiorze opowiadań przewodnickich „Góry wołają" pisał o sobie: *Pełnoprawnym obywatelem właściwie nie jestem, nie mam etatu i pensji. Jestem semaforem. Jeżeli droga wolna i bezpieczna, wskazuję ją. Jestem nauczycielem, pedagogiem. Jestem lekarzem. Jestem — bo muszę — dobrym, miłym i (Boże, jak to nieraz ciężko!) dowcipnym towarzyszem. Jestem przełożonym. Przewodnikiem tatrzańskim.* W jednym z opowiadań wymyka mu się wyznanie: *Piękny jest świat, przewodnicki świat. Pełen przestrzeni, słońca, powietrza i najróżniejszych, najzabawniejszych wzruszeń. Wzruszeń najprawdziwszych.*

Częsty gość domu na Harendzie, zaprzyjaźniony z Marusią Kasprowiczową, w latach siedemdziesiątych pracował w Muzeum Kasprowicza jako kustosz. Ten okres życia zamyka książeczka „Harenda", w której autor zawarł przeszłość i teraźniejszość bliskiego mu miejsca.

Współtwórca „Jesieni Tatrzańskiej", inicjator konkursu na wiersz o tematyce górskiej, dzięki któremu wyszło z „ukrycia" wiele nowych talentów, jeden z organizatorów Klubu Literackiego w Zakopanem oraz działającego przy nim Studium Słowa, wszelkimi sposobami starał się propagować góralską kulturę. Był z nią związany mocniejszymi więzami, niż niejeden rodowity podhalańczyk. Baczył, by najdrobniejsza cząstka dawnej spuścizny, która w jego rozumieniu tworzyła glebę dla „nowego", nie została zaprzepaszczona. Stąd zrodziły się liczne artykuły o starym budownictwie góralskim, o sędziwych artystach ludowych. Gdy w Ludźmierzu ograbiono z korony i wotów piękną Madonnę z tamtejszego kościoła, pisał w wierszu „Do Panny Ludźmierskiej okradzionej":

Tramie lipowy
klocu
z lipowej pierwociny dłonią
ludźmierskiego mistrza
obnażony

Dziewczyno Boża z osełki drewna
wykrojona
przez Ducha Świętego zaświecona
u brzegu Dunajca słonkiem zarumieniona
nie Ciebie okradziono

nas

W jego wierszach często pobrzmiewają tony ludowych pieśni, charakterystyczne powtórzenia, jak w przyśpiewkach. Gdy obrazem poetyckim wyraża ruch, taniec — jakby słyszało się dźwięki kapeli, biegnącą coraz szybciej frazę melodii wydobywanej szybkimi ruchami smyczków:

Parzeniczki czerwone
hulały
parzeniczki Kamieniczan
szalały

czerwone parzeniczki
przepuściły bryzowane gorsety
w gorsetach dojrzewały złote renety...

W tomiku wierszy „Górale tańczą" złożył ukłon różnym regionom; tancerze w barwnych strojach Lachów, Basków, Szkotów jakby zastygli w tańcu, w jednym ruchu, by dłużej ich można było podziwiać. Najbliższy był mu jednak zawsze taniec podhalański. W wierszu „Jesień Tatrzańska", nagrodzonym I nagrodą podczas III Konkursu pisał:

a gdy zbójnicki zawadził o niebo
struchlała ziemia w pięknie
regle nakryła nocą
i oto

na Buczynowej Turni
dukat miesiąca
siadł pełnią

pieczęć prawdy

Tadeusz Staich należał do grona romantyków, którzy całe życie poświęcili poszukiwaniom góralskiej przeszłości. Nie pragnął jej zamknąć w muzeum osobliwości; chciał utrzymać żywą więź czasu minionego z teraźniejszością. W jednym z numerów „Podhalanki", pisząc o zabytkach Podtatrza wyraził to w refleksji: *Dorobek jednostkowy i zbiorowy jest metryką naszej polskości dokumentem tożsamości narodowej. Dorobek ten miał swój historyczny początek w czasie i przestrzeni, wciąż trwa, nieustająco ukazuje światu tworzone wartości. Nie może ustać, nie może się więc skończyć (...). Skoro jednak dorobek trwa, to te wartości, które powstały wczoraj, już są stare. Nowe zaś rodzą się nieustająco. Nazywamy to postępem.*

Odszedł „Bartuś Gronikowski", „Gazda Benefis", wielki przyjaciel Podhala, przewodnik po górskich bezdrożach i zapisanych w sztuce tajemniczych zakątkach góralskiej duszy. Pozostanie w pamięci tych, którzy — jak on — zrozumieli skalą ziemię i jej mieszkańców, w strofach wierszy, w miejscach, gdzie pozostawił ślady.

LUCYNA KASZUBA

W Gorlickim Muzeum

Wychodząc naprzeciw zainteresowaniom pań, Muzeum Regionalne PTTK w Gorlicach zorganizowało wystawę „Fajanse polskie od połowy XIX do połowy XX wieku".

Zbiory wypożyczono z Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku. Na wystawie gorlickiej zgromadzono ponad 200 sztuk wyrobów ośmiu manufaktur takich jak: Praga-Warszawa, Lubycza Królewska, Pruszków, Potylicz, Koło, Ćmielów, Biolatyn i Włocławek.

Duży zestaw eksponatów daje pewien pogląd na produkcję liczących się wówczas polskich wytwórni, umożliwia bezpośrednie porównanie jakości wyrobów, zestawu barw, zasobu stosowanych motywów i technik zdobniczych.

Przemiany zachodzące w życiu społeczeństwa spowodowały wypieranie naczyń domowego użytku miedzianych, cynowych i glinianych przez fajanse. Powszechność fajansów powodowana została zapotrzebowaniem, kulturą życia codziennego, dbałością o higienę, sposobem odżywiania. To co kiedyś było domeną dworów królewskich, książęcych, szlacheckich — stało się ogólnodostępne. Obok, jak i również w miejsce deficytowo produkujących manufaktur XVIII-wiecznych zakładanych przez magnatów, przez Żydów — powstaje cały szereg nowych fajansiarni, dających tańszą i lepiej dostosowaną do potrzeb produkcję. Pojawiają się nowe techniki zdobnicze, nowe motywy. Można je ująć w trzy grupy: wzory ludowopodobne, charakterystyczne dla danego regionu; zdobnictwo nieprofesjonalne, jako martwe natury; artystycznie przekomponowane, stylizowane motywy o charakterze ludowym.

Gdy weźmiemy pod uwagę fakt, że w reprezentowanym okresie działało kilkadziesiąt wytwórni na terenie kraju, że dobór motywów i technik był podporządkowany gustom i wzorcom regionalnym — możemy sobie wyobrazić, jak bajecznie kolorowa jest wystawa, do której Muzeum gorlickie zaprasza. A przy okazji warto zapoznać się ze znakami firmowymi wytwórni, stanowiącymi — podobnie jak i wyroby — same w sobie dzieła sztuki.

JERZY ZASOWSKI
Gorlice

czy rozgłośna wrzawa wokół filmu „Shoah" oraz międzynarodowe powodzenie wystawy i fotoreportażu („National Geographic") MAŁGORZATY NIEZABITOWSKIEJ i TOMASZA TOMASZEWSKIEGO *Ostatni polscy Żydzi*. O tym, że zagadnienie to żywotnie dotyczy również mieszkańców Polski południowej, niech świadczą dwujęzyczne napisy na sklepach i instytucjach publicznych na polskim Spiszu i polskiej Orawie oraz szeroko przypominana ostatnio kultura ludności łemkowskiej.

Właśnie. Więcej mówi się o kulturze niż o Łemkach jako takich. Rusnacy bowiem — tak nazywali się sami, „Łemko" to przezwisko, nadane im z przyczyn odmienności językowych (z powodu używania zapożyczonego ze Słowacji *lem* = tylko) przez Bojków — dziś żyją w wymuszonej przez Historię diasporze.

Uważani za „innych", kilkakrotnie musieli doświadczać konsekwencji owej inności. Kulturowo sympatyzując z Rusią, w momencie wybuchu I wojny światowej w rozumieniu władz austriackich stali się Łemkowie rosyjską „piątą kolumną". Wielu straciło życie na skutek cesarsko-królewskiej szpiegomanii, wielu osadzono w obozie koncentracyjnym w Talerhoffie.

Historia powtórzyła się w czasie II wojny. Po wrześniu 1939 r., na mocy porozumienia niemiecko-radzieckiego, kilka tysięcy Łemków wyjechało w głąb Rosji, w ramach wymiany za Niemców, przesiedlonych do Rzeszy. Po napadzie Niemiec na ZSRR, Łemkowie o orientacji „staroruskiej" byli przez hitlerowców masowo eksterminowani, osadzani w obozach i wywożeni na przymusowe roboty.

W latach 1944—46 na podstawie umowy polsko-radzieckiej 70 tysięcy Rusnaków wyjechało do ZSRR. W 1947 r. Łemkowie ponieśli konsekwencje faktu, iż na zajmowanych przez nich terenach działały bandy nacjonalistów ukraińskich, z którymi Rusnacy jako rusofile nigdy zresztą się nie zgadzali: wszystkich pozostałych przy Polsce Łemków (poza małżeństwami mieszanymi) przymusowo wysiedlono na ziemie zachodnie, celowo ich przy tym rozpraszając.

Po Październiku pozwolono im wracać do rodzinnych stron, ale zwykle musieli odkupywać swoje dawne gospodarstwa z rąk polskich osadników. Wielu pogodziło się z losem i pozostało nad Odrą. Wielu powróciło w Besikd Niski i Sądecki, w Bieszczady, na Podkarpacie. Ale, jak pisze jeden z największych znawców problematyki łemkowskiej, prof ROMAN REINFUSS — *Pokolenie, które dorastało na Ziemiach Zachodnich, jak również jego dzieci prawie zupełnie odeszło od lokalnej łemkowskiej subkultury. Nowa Łemkowszczyzna, która odbudowuje się z trudem, nie przypomina już dawnej. Łemkowie dzisiejsi są już innymi ludźmi zarówno w sensie cywilizacyjnym jak i politycznym.*

Kultura, sztuka i język Łemków były tematem sympozjum, zorganizowanego w Sanoku przez Komisję Turystyki Górskiej PTTK w 1983 r. Uczestniczyło w nim blisko 300 działaczy turystycznych z całej Polski. Po czterech latach(!) PTTK-owskie Wydawnictwo „Kraj" wydało drukiem arcyciekawe materiały z tej sesji. Referaty dotyczą problematyki historycznej, językoznawczej, etnografii i historii sztuki na dawnej Łemkowszczyźnie, a ich autorami są najwybitniejsi specjaliści z tych dziedzin. Choć niezbyt łatwym językiem pisane, są z pewnością warte przestudiowania — i przez tych, którzy na Łemkowszczyznę wrócili, jak tych, którzy na niej osiedli po wojnie, jak wreszcie tych, którzy po południowo-wschodniej Polsce wędrują w czasie wakacji, zachwycając się urokiem krajobrazu, smętnym pięknem opuszczonych cerkwi, egzotyką nazw, których biurokratyczni poloniści nie zdążyli zmienić.

ŁEMKOWIE. KULTURA — SZTUKA — JĘZYK: R. REINFUSS, *Łemkowie w przeszłości i obecnie:* J. RIEGER *Łemkowie i ich język;* Z. SZANTER, B. TONDOS. J. TUR, *Sztuka sakralna na terenach łemkowskich i bojkowskich;* J. CZAJKOWSKI, *Zagroda i dom w Beskidzie Niskim, Bieszczadach i na Pogórzu;* I. MARTYNOWICZ, *Kurna chata występująca w Bieszczadach, Beskidzie Niskim i na przyległym Pogórzu;* J. RIEGER *Toponomastyka Beskidu Niskiego i Bieszczadów Zachodnich.* Wydawnictwo PTTK „Kraj", Warszawa — Kraków 1987. Nakład 6000 egz., stron 174, cena 460 zł.

JANUSZ PIECZKOWSKI

PO DRUGIEJ STRONIE ATLANTYKU

(3)

Z powietrza Chicago wygląda jak nie kończący się labirynt. Ogromne drapacze tkwiące jak piramidy, wokoło nich bezmiar domów, domków i willi. Wylądowaliśmy na lotnisku Midway. W powietrzu i na ziemi ogromny ruch. Co 40 sekund startował lub lądował jakiś samolot. Po pasach ruchu gnały samochody i autobusy. W budynku portu, gdzie czekał już na nas z powitaniem konsul Kita, ruch jak na ogromnym festynie. Pojechaliśmy wprost do hotelu Hiltona „Palmer House". Konsul zaprosił nas jeszcze na godzinę 18 na drinka i po chwili byłem już w pokoju 2054 na dwudziestym piętrze. Tu na widocznym miejscu leżał plan miasta, plik folderów i program naszego pobytu. Zaledwie zdążyliśmy rozpakować walizki i jakoś doprowadzić się do porządku, a już trzeba było jechać do konsulatu. Pomimo zmęczenia spędziliśmy tam niezwykle miło czas aż do północy. Postanowiliśmy nie wstawać zbyt wcześnie rano (tym bardziej, że była to niedziela i w programie mieliśmy tylko zwiedzanie miasta). Naszymi przewodnikami miały być osoby prywatne, panie Barbara Schaff i Ludmiła Borejsha oraz pani Kirsh.

Przed godziną jedenastą spotkaliśmy się w hallu hotelowym, zostaliśmy sobie przedstawieni przez pana Krausa, i rozmawiając o naszej eskapadzie rozglądaliśmy się ciekawie wkoło. Hotel nasz miał cztery wejścia, wiele sklepów, zakładów fryzjerskich i kosmetycznych, barów, kawiarni, kwiaciarni i sal restauracyjnych.

Wsiedliśmy do czekających samochodów. Chicago liczące 6 milionów mieszkańców przytłoczyło nas swym ogromem, dynamiką i ustawicznie sunącym potokiem pojazdów. Zajmowało ono wówczas obszar 229 mil kwadratowych, ponad 4 tysiące mil wynosiła długość ulic. Ten ogromny ośrodek przemysłowo-handlowy i ważny węzeł komunikacyjny, położony w środku USA, jest zarazem wielkim portem Środkowego Zachodu (nawet dla statków oceanicznych, od czasu otwarcia drogi wodnej przez wielkie jeziora).

Jeszcze w 1833 roku w małej wiosce nad jeziorem mieszkało zaledwie 50 rodzin. Trzy kolejne pokolenia przekształciły tę wioskę w jeden z największych w świecie ośrodków mieszkalno-przemysłowych, w którym zbiega się 65 linii kolejowych obsługiwanych przez 20 dworców kolejowych. Przyjmują one dziennie 1500 pociągów pasażerskich i parę tysięcy towarowych. Arteriami kołowymi przejeżdża tu dziennie około 800 tysięcy pojazdów. Przepychaliśmy się przez tę dżunglę miejską poprzecinaną równą siatką skrzętnie ponumerowanych ulic. Stały przy nich tysiące niemal takich samych domów, domków, pawilonów, dobudówek, sklepów i reklam. Wiele z nich odrapanych i zruderowanych, często z plątaniną żelaznych przeciwpożarowych schodów biegnących zygzakiem po zewnętrznych ścianach. Pośród tego morza brzydoty i identyczności strzelają w górę drapacze w centrum miasta opasanego liną nadziemnej kolei, biegnącej z przeraźliwym hałasem po stalowej estakadzie tuż nad jezdnią na wysokości okien pierwszego piętra budynków.

Chicago to drugie po Warszawie największe skupisko Polaków i drugie po Mediolanie największe skupisko Włochów (żyje tu 800 tysięcy Polaków, liczni Włosi, Niemcy, Irlandczycy i Ukraińcy). W morzu tej brzydoty widzieliśmy też i ładne nowoczesne gmachy, jak 36-piętrowy Dom Prasy, 41-piętrowy gmach „Prudentialu", zbudowany w 1955 roku za sumę ponad 40 milionów dolarów. Ma też to miasto największy budynek świata, w którym pracuje równocześnie 25 tysięcy osób i w którym mieszczą się przedstawicielstwa różnych firm wraz z wystawą tego, co oferują. Działa tu również największy na kuli ziemskiej dom handlowy z pół milionem czynionych w nim codziennie zakupów.

Dzielnica położona nad Jeziorem Michigan to już całkiem inny obraz budownictwa. Nad bulwarami wzdłuż wybrzeża stoją tu i wieżowce, ale rozrzucone i wkomponowane w wysoką i niską zieleń, schodzącą aż do piaszczystej plaży. Jest tu Yacht-Club i siedziba Weteranów Wojennych oraz szpital, są pawilony wystaw międzynarodowych.

Zwiedziliśmy Muzeum Wiedzy i Przemysłu. W ogromnym budynku z bardzo staranną i przejrzystą ekspozycją ma się przegląd osiągnięć myśli technicznej ludzkości. Poczynając od małych, żywych kaczuszek zjeżdżających po ześlizgu do sztucznego stawu przy kole wodnym, poprzez różne maszyny i sprzęt rolniczy, samochody, lokomotywy i samoloty do elektroniki i robotów. W drodze powrotnej zobaczyliśmy jeszcze w Marina City dwa 60-piętrowe budynki ze stali, szkła i betonu podobne do kominów. Wsparte były swą konstrukcją na wysokich, wbitych w ziemię podporach. Pierwsze 20 kondygnacji zajmowały w nich parkingi, sklepy, restauracje i punkty usługowe. Na pozostałych 40 piętrach były mieszkania. Jadąc dalej do polskiej dzielnicy znaleźliśmy się nagle wśród wyburzonej zabudowy jakiejś dzielnicy — planowano przeprowadzić tamtędy drogę szybkiego ruchu i wpuścić do mieszkań więcej światła i powietrza. Pomimo niedzieli pracowały tu buldożery i zawieszone na wysokich żurawiach pękate żeliwne gruszki, które rozhuśtane, jednym uderzeniem rozwalały cały dom. Dalej stało już osiedle niedawno wzniesionych 19-piętrowych domów mieszkalnych, wokół których na boiskach i skwerach bawiły się dzieci. Dowiedzieliśmy się, że miasto przeznaczyło na wyburzenie 566 milionów dolarów i że robi się w tej mierze dużo, ale wciąż jeszcze pozostaje do zrobienia znacznie więcej.

Wreszcie zajechaliśmy przed budynek polskiego muzeum, po którym oprowadzał nas jego kustosz, pan Jerzy Wolter. Muzeum to posiada sale Kościuszkowską, Pułaskiego i Paderewskiego, a także zbiory sztuki ludowej, folkloru i oręża polskiego. Wszystko kończy się na roku 1939. Nie ma tu niczego z okresu okupacji Polski i udziału Polaków w II wojnie światowej na różych frontach.

Ponieważ byliśmy już na terenie polskiej dzielnicy, postanowiliśmy ją zwiedzić. Zabudowana jest ona starymi, przeważnie jedno i dwupiętrowymi domami. Nad wieloma sklepami wiszą szyldy z polskimi nazwiskami: Stasiak, Michalski, Janicki, Kaczmarek, Kowalski. Jest też polska apteka Wieczorka.

Weszliśmy na chwilę do restauracji „Zakopane". Na kominku, choć było lato, tliły się szczapy drewna. Na ścianach olejne malowidła z widokiem Morskiego Oka i panoramy Tatr. W barze, przy którym na wysokich stołkach mogą zasiadać tylko osoby, które ukończyły 18 rok życia — pornograficzne przeźrocza. Następny polski lokal to piwiarnia „Okocim", i kilka kroków dalej — duża restauracja „Warszawianka". Zdecydowaliśmy się zjeść tu spóźniony obiad. Lokal ładny i przestronny. W karcie duży wybór dań polskiej kuchni, z bigosem myśliwskim, flaczkami, golonką, białą kiełbasą i kotletem schabowym z kapustą. Ceny przynajmniej o połowę niższe niż w śródmieściu. Lody i sok pomarańczowy podano bezpłatnie, jako dodatek.

Pełni wrażeń i zmęczeni wróciliśmy do hotelu późnym już wieczorem, by następnego dnia złożyć burmistrzowi wizytę w ratuszu.

Burmistrz, pan Daley, przebywał w tym czasie w Europie, więc zostaliśmy przyjęci przez jego zastępcę — Raymonda Simonsa. Ten stosunkowo młody jeszcze człowiek był ponoć doskonałym administratorem. Zastaliśmy w jego gabinecie parę osób. Był tam główny inżynier ruchu drogowego, pan Robert Waller, i jego pomocnik — Robert Zralka oraz szef budżetu miasta — Barry Kosterko.

Dowiedzieliśmy się, że w administracji miasta jest zatrudnionych łącznie 40 tysięcy urzędników. Miasto liczy 50 okręgów wyborczych, w których wybiera się tylko po jednym radnym, tak więc cała Miejska Rada ma tu tylu radnych co w Nowym Sączu. W tej liczbie jest 5 radnych polskiego pochodzenia. Radny otrzymuje rocznie 8 tysięcy dolarów wynagrodzenia plus dodatkowo 3 tysiące na koszty reprezentacyjne. W sumie jest to 1/3 przeciętnego dochodu rocznego średnio zamożnych ludzi. Jeśli zważy się, że każdy z radnych pracuje przy tym gdzieś zawodowo, to te dodatkowe 900 dolarów miesięcznie jest bez wątpienia zachętą dość istotną.

Miasto ma 75 dzielnic, w których działają rady okręgowe. Przy burmistrzu działa jego biuro informacyjne. Jeśli zgłasza się tam z jakąś sprawą petent, to jego prośba zostaje spisana przez urzędnika i skierowana do załatwienia przez właściwy wydział, który o sposobie załatwienia zawiadamia pisemnie petenta i biuro informacyjne. Średnio dziennie wpływa 200 takich spraw.

Koordynacja planów wydziałowych leży w kompetencji wydziału planowania. Jest to organ koordynacji planów miasta z planem stanowym i zamierzeniami federalnymi. Autostrady np. są planowane na szczeblu stanu, natomiast fundusze na ich budowę w 90 proc. pochodzą ze środków federalnych. Chicago zaopatrywane jest w wodę pitną z 6 ujęć wodnych. Pobierają one wodę z jeziora trzema systemami tuneli, z tym, że punkty poboru wbudowane są daleko w jezioro, a tunele położone są na głębokości 16—60 metrów pod lustrem wody. Średnie dobowe zużycie wody na głowę mieszkańca wynosi 928 litrów. Wodociągi są dochodowe (uzyskane z tego źródła pieniądze przeznacza się wyłącznie na rozbudowę i modernizację sieci). Dowiedzieliśmy się też, że budżet miasta jest wyższy od dochodów Meksyku, Chile i Kolumbii razem wziętych. Źródłem dochodów są tu wpływy z podatku obrotowego, od sprzedaży, 5 proc. od usług takich jak dostawa gazu, elektryczności i od telefonów (jako że te dziedziny pozostają w rękach prywatnych). Dalej idą podatki od nieruchomości, od wydawanych koncesji na działalność zawodową. Od tego podatku zwolnione są tylko wolne zawody, gdyż opłacają podatek dochodowy. Podatek od sprzedaży płaci konsument (wkalkulowany w cenę towaru). Jest też podatek od reklamy, jeśli wisi ona nad chodnikiem, ulicą czy placem. Dochody czerpane są też z publicznej sprzedaży obligacji na wielkie inwestycje. Po ich oddaniu do użytku w miarę uzyskiwanych zysków obligacje są wykupywane po wyższych cenach. Podobnie jak dochody z wodociągów, dochody od samochodów i benzyny mogą być przeznaczone wyłącznie na budowę i utrzymanie dróg. Budżet roczny uchwala Rada Miejska, z tym że musi on być uchwalony w grudniu i zgodnie z wymogami prawa odbywa się to na trzech kolejnych sesjach co dwa tygodnie.

Wizytę w ratuszu zakończyło zwiedzenie automatycznej spalarni śmieci, wybudowanej niedawno kosztem 7 milionów dolarów i będącej przedmiotem dumy komisarza sanitarnego Johnsona, który oprowadzał nas po tym obiekcie. W ogromnej hali z labiryntem automatycznych transporterów, rur i przewodów oraz pulpitów sterowniczych pracowały obrotowe piece elektryczne o temperaturze wnętrza ponad tysiąc stopni Celsjusza. Pomimo klimatyzacji i sztucznego nawiewu, hałas i okropny zapach powietrza zmusiły nas do szybkiego wycofania się na zewnątrz.

W godzinach południowych uczestniczyliśmy w obiedzie wydanym na cześć naszej delegacji przez Biuro Burmistrza (z udziałem radnych polskiego pochodzenia). Wieczorem pojechaliśmy na cocktail do konsulatu mieszczącego się przy Astor Street. Było kilku przedstawicieli miejscowej Polonii i prasy. Pytano, np. Skolickiego, czy zna w Krakowie pana Iksa, który przed wojną miał sklep kolonialny na Stradomiu. Ktoś z obecnych poruszył też kwestię braku pomocy władz województwa krakowskiego przy budowie szkoły w gromadzie Miechowice w powiecie Dąbrowa Tarnowska, na którą Polonia przekazała 3.240 dolarów. Wyjaśniliśmy, że widocznie koszt budowy szkoły jest wyższy i że budowa ruszy dopiero z chwilą zebrania całej potrzebnej kwoty. Wtedy zaproponowano Skolickiemu, żeby pozostać o dzień dłużej, spotkać się z liczną Polonią i zaagitować ją do dalszych składek. Ale mieliśmy już wykupione bilety lotnicze do San Francisco, a nadto — jak wyjaśnił Skolicki — nie przyjechaliśmy tu po to, by kogokolwiek o coś prosić. Któryś z miejscowych dziennikarzy zapytał mnie, czego najbardziej zazdroszczę naszym amerykańskim kolegom po fachu.

— Tego, że nigdy nie musieli odbudowywać swoich miast ze zniszczeń wojennych — odparłem bez namysłu.

Żegnaliśmy bez żalu miasto miliona samochodów, słynnej giełdy zbożowej i ogromnych rzeźni, miasto Hemingwaya, ale także miasto przestępców ze słynnym Al Capone. Oczekiwało nas najładniejsze i najbardziej malownicze miasto USA — San Francisco, odległe o prawie 3 tysiące kilometrów.

Wystartowaliśmy do niego 19 maja, lecąc na dość znacznej wysokości, ale przy ładnej pogodzie. Po dwu godzinach lotu byliśmy już nad ośnieżonymi szczytami Sierra Nevada, ciągnącymi się ku północy. Na krótko przed dolotem do celu natrafiliśmy na olbrzymie wypiętrzone cumulusy. Chmury te o fantastycznych kształtach, białe i pękate, zacieśniały się coraz bardziej, zamykając powoli horyzont. Początkowo pilot starał się je omijać ze względu na niesłychanie silne prądy wznoszące, ale czym byliśmy bliżej celu, tym było ich więcej. W kabinie zapaliły się napisy wzywające do zgaszenia papierosów i zapięcia pasów. Ominięcie tych chmur było już rzeczą niemożliwą, a ich przebicie i wejście na większą wysokość mogło być niebezpieczne. Lot zaczął przypominać jazdę jakąś diabelską drogą. Porwany prądem samolot jechał jak winda kilkaset metrów do góry. Byliśmy wówczas wciskani w siedzenia foteli. Za moment, którego nie sposób było przewidzieć, trafiwszy na dziurę powietrzną, spadaliśmy jak kamień w dół. Uciekały spod nas fotele i zawisaliśmy na pasach. Żołądek podjeżdżał do gardła i równie szybko wszystko wracało do normy, by niebawem zacząć od początku.

(Ciąg dalszy za tydzień)

GABRIELA R. DANIELEWICZ

Pamiętnik sądeczanki

(30)

Marzec 1877

Pani Sydonia Sowińska odwiedza nas często, przychodzi zwykle po południu, niekiedy też wpada po wieczerzy, kiedy wpatrzeni w dogasający ogień pod kuchnią śpiewamy. Mówi, że lubi słuchać naszych śpiewek, że są głęboko patriotyczne, i zachwyca się głosem Joachima oraz Femci.

Z braku własnej rodziny i przyjaciół przylgnęła do naszego domu i chociaż zapraszają ją Nyftonowie i Janiakowie, najchętniej przebywa u nas. Rozmowy z nią przypominają mi krakowskie czasy i wywołują wzruszenie po czymś, co bezpowrotnie minęło.

P. Sowińska dobrze czuje się w Sączu, polubiła Załubincze, bo jak go można nie lubić?

Zwyczaj wieczornego śpiewania panuje prawie w każdym mieszczańskim domu; wiosną i latem śpiewa się w ogrodach lub na progach domostw, w chłodne dni i zimą w kuchniach przy palenisku. Śpiew jest nieodłącznym towarzyszem życia i nie można sobie wyobrazić żadnej uroczystości rodzinnej bez przygrywania i pieśni. Któregoś wieczoru wyciągnęłam ze spodu kufra dawno nie używaną cytrę i niewprawną już ręką wydobyłam tęskną melodię. Rozrzewniłam się. Gdzie podziały się beztroskie lata młodości? P. Sowińska pochwaliła moją grę i powiedziała, że nie powinnam zaniedbywać cytry, bo to piękny instrument.

Wczoraj przyszła przed południem specjalnie po to, żeby ze mną porozmawiać w czasie nieobecności Joachima. Dzieci wybiegły i siedziałyśmy w dużym pokoju, bo zawsze proszę ją do dużego pokoju, chyba że chce słuchać naszych śpiewek przy kuchni. P. Sowińska zaproponowała, żeby Joachim założył z nią do spółki bławat. Czuje w sobie dużo energii, nie lubi bezczynności i od lat pociągał ją handel, o czym jej mąż, urzędnik kolejowy wyższej rangi, nie chciał słyszeć. P. Sowińska nalegała, żebym namówiła Joachima na tę spółkę. Gotowa jest wnieść większy wkład gotówkowy, za to mąż mój miałby się zająć zorganizowaniem sklepu i dostawy towaru. Dała też do zrozumienia, że odpowiednio odwdzięczy się za to legatem w testamencie na korzyść naszych dzieci. P. Sowińska uważa, że spółka z p. Onufrym nie przynosi Joachimowi należytych korzyści i że Joachim jest w tym układzie w pozycji słabszego. Ma słuszność, wiele razy wypominałam Joachimowi, że daje się wykorzystywać. Onufry nowy dom stawia, a my?

Szczerze mówiąc, gdyby nie pieniądze Ciotki, mielibyśmy biedę, chociaż teraz też się nie przelewa. Słuchałam więc p. Sowińskiej i przyznałam jej rację: Joachima stać na spółkę z prawdziwego zdarzenia i właśnie z nią, panią solidną, uczciwą, niezdolną do krętackich wybiegów. P. Onufry był przedtem zupełnie inny, zmienił się na niekorzyść po śmierci żony, stał się chciwy i chytry, pewnie pod wpływem Klementyny. Obiecałam p. Sowińskiej porozmawiać z Joachimem i utorować jej drogę. Czemu mamy nie poprawić sobie bytu? Może kiedyś też pokusimy się o postawienie kamienicy lub większego domu?

Wszystko wyklarowałam Joachimowi zaraz po jego powrocie do domu i czekałam na oznakę zadowolenia, gdy tymczasem on spokojnie oświadczył, że dziwi się mojemu pośrednictwu w tak niemożliwej sprawie. Nie ma pojęcia o bławacie i nie może rezygnować ze spółki z p. Onufrym. Ponadto dowiedziałam się, że nie stać nas na nowe interesy, bo te, w które się zaangażował, wymagają pieniędzy, których nie posiadamy. Oburzyło mnie to.

— Wycofasz się ze spółki, to Onufry odda ci pieniądze — wybuchnęłam.

— I tak byłoby mało na bławat — odrzekł obojętnie Joachim.

— Więc dołożę z pieniędzy po ciotce! — wrzasnęłam.

— Ruszyłabyś te pieniądze? — spytał niedowierzająco.

— A czemu nie? Przecież podwoją się lub potroją po jakimś czasie.

— Nie licz na to. Każdy handel kryje w sobie ryzyko.

— Spróbujemy — zadecydowałam. — Bez ryzyka nie ma zysku.

— Te pieniądze miały być dla dzieci — przypomniał Joachim — lub na czarną godzinę. Nigdy do tej pory nie chciałaś ich ruszyć.

— Ale teraz wezmę, skoro nadarzyła się okazja. Musimy wreszcie wyjść z tej biedy. Czy nie masz ambicji, żeby naszym dzieciom lepiej się żyło?

— Nie narzekaj, Emilko. Inni mają gorzej od nas.

— Czemu nie patrzysz na tych, co mają lepiej? Co za dziwny z ciebie człowiek! Zadowalasz się byle czym, nie masz żadnych dążeń, wszystko jest ci obojętne, nawet dobro rodziny i przyszłość dzieci. Dosyć czekałam, aż przypomnisz sobie o obowiązkach męża i ojca.

Joachim nie podnosił głosu, tylko patrzył na mnie ze wzrastającym smutkiem.

— Emilko, co ty wygadujesz, czy zapomniałem o nich?

— Zaniedbujesz je, wszystko ci jedno co do garnka włożę, w co ubiorę dzieci, za co kupię im książki i zeszyty — wyliczałam jednym tchem i ogarniała mnie złość coraz większa na niewzruszony spokój męża. — Popatrz, co my mamy? Jak żyjemy? Chodzę w przerabianych sukniach, które przed laty dostałam od Ciotki, nie stać mnie na nową salopę, dokonuję cudów zręczności, by odziać jakoś dzieci. I teraz, kiedy otwierają się możliwości lepszego życia, ty rezygnujesz. O, nie, tym razem nie ustąpię. Spółka z p. Sowińską to nasza wielka szansa. Jak uważasz, że nie powinniśmy ruszać pieniędzy po Ciotce, pożyczę od Małgorzaty i Eustachego.

— Nie będziemy od nikogo pożyczać pieniędzy — stwierdził ponuro Joachim.

— Co znaczy od nikogo? Małgorzata i Eustachy to najbliższa rodzina. Zaraz do nich napiszę, na pewno nie odmówią.

— Nie bardzo mi się to podoba — pokręcił głową — nie jestem za tym.

— To nie bądź — zawołałam z gniewem — a i tak przystąpimy do tej spółki. Już ja cię do tego nakłonię.

Joachim nic się nie odezwał, tylko ciężko westchnął i poszedł do pokoju. Więcej nie wracaliśmy do tego tematu. Następnego dnia napisałam list do siostry i szwagra z prośbą o pożyczenie pieniędzy na założenie spółki. Antoś sprawdził, czy nie zrobiłam błędów i spokojnie wysłałam list. Niech Eustachy nie myśli, że pisać nie umiem.

Parę dni później

Wstąpiłam na chwilę do Janiaków i powiedziałam im o propozycji p. Sowińskiej i moim liście do Krakowa. Pochwalili moje zabiegi. Uważają, że obecnie, kiedy uruchomiono linię kolejową i zaczyna się budować warsztaty kolejowe, a Rada Miejska stara się o pozwolenie na wybudowanie drugiej linii, tzw. podkarpackiej, sklep bławatny ma przed sobą dobrą perspektywę rozwoju. To mnie podtrzymało na duchu, bo już nie wiedziałam, czy dobrze uczyniłam sprzeciwiając się Joachimowi. Nie rozmawiam z nim nadal i nie mam zamiaru odezwać się pierwsza.

Kwiecień

Byłam dzisiaj z p. Sowińską na kolei. Daleki spacer, nawet trochę zmęczyłyśmy się. Od Rynku na stację dwa kilometry, od nas na Rynek prawie kilometr, więc w sumie sześć w obie strony. Przy niedzieli można sobie na to pozwolić. Teraz mniej ludu spaceruje po moście heleńskim, nie chodzą już w stronę Zabełcza, tylko każdy na kolej. Osobiście wolałam spacery na Helenę, po moście nad Dunajcem, między topolami, z ładnym widokiem na wiklinę nad rzeką i góry. Po drodze spotkałyśmy wiele znajomych.

P. Sowińska zaszła do nas w drodze powrotnej, zrobiłam jej kawę z mlekiem, podałam cwibak. Joachim powitał ją uprzejmie i zaczął opowiadać o jakiejś nowej książce, którą kupił u Pisza. Odkąd założono księgarnię, to na książki wydaje trochę za dużo. Ale żeby mi kupić nowy kubrak nie pomyśli i muszę chodzić w niemodnym, jak paniusia z przedmieścia. O bławacie nie mówiliśmy ani słowa. Przedtem powiedziałam p. Sowińskiej o liście do siostry i szwagra i o tym, że decyzję podejmę po otrzymaniu od nich odpowiedzi. P. Sowińska poprosiła, żebym zagrała na cytrze. Joachim mi wtórował śpiewem i tak pogodziliśmy się. Co mi pozostaje. Przecież wiecznie dąsać się nie można.

Wieczorem

Brak czasu powoduje, że rzadko zaglądam do sztambucha i mniej piszę niż w pierwszych latach. Niekiedy przerzucam tylko zapiski i przywołuję w pamięci minione wydarzenia, po których został ślad. Lubię ciche chwile zadumy nad przeszłością. Dokąd zmierza świat? Świat dzieciństwa i pierwszej młodości, porywów, radości i złudzeń, wracający falą wspomnień z mojego pamiętnika?

Nazajutrz

Lubię patrzeć na wystawę sklepu p. Kosterkiewicza, ułożenie wiktuałów jest pomysłem i przykuwa spojrzenie. Chętnie też wchodzę do wnętrza i rozglądam się wokoło. Posiadanie podobnego sklepu jest moim marzeniem. Przed wejściem pełno powozów z obywatelami ziemskimi. Klientelę stanowią ludzie zamożni, inteligencja, oficerowie.

22 maja

W ostatnich dniach naczelnikiem Ochotniczej Straży Pożarnej został pan Karol Kwolewski, budowniczy miejski. Dzięki straży mamy spokój, bo nie wisi nad nami nieustająca groźba gaszenia ognia i biegania z wiadrami wody na miejsce pożaru, jak było w poprzednich latach. Każda burza powodowała paniczny strach, że coś zapali się od uderzenia pioruna. Bez straży było naprawdę źle. Z naszej ulicy starsi synowie Janiaków, Zagrodków i Brusików przystąpili do ochotników.

Wieczorem

Serdecznie uśmieliśmy się przy obiedzie. Joachim opowiedział zabawną dykteryjkę. Do księdza kanonika Machaczka przyszła jakaś majętna gospodyni z pobliskiej wsi zamówić egzekwie za męża. Kobieta skąpa, ofiarowała niską kwotę, więc proboszcz, znając jej stan majątkowy, domagał się wyższego datku. Przekomarzali się i nikt nie chciał ustąpić. Wówczas gospodyni oświadczyła, że pójdzie do ojców jezuitów i oni za tę sumę odprawią egzekwie. Ksiądz Machaczek na to: „Za taką sumę to i jezuci wszystko ci sfuszerują". Przypuszczam, że całe miasto śmieje się dziś z humoru naszego proboszcza.

27 maja

Po ciemku już, było chyba po dziesiątej, wyszłam do ogródka. Usłyszałam jakiś szelest i patrzę, a tu Joanna idzie z jakimś panem w pelerynie. Chichotali. Potem zatrzymali się i widziałam mimo mroku, że ją objął wpół. Stałam długo patrząc na nich, aż mi się znudziło i weszłam do domu. Wychyliłam się przez okno i jeszcze majaczyły mi przed oczyma ich postacie. Joanna nie ma wstydu, że chodzi po nocach jak jakaś włóka. Chyba matka o tym nie wie, że córka spotyka się z gachami.

30 maja

Klimkowie poprosili mnie w kumy. Chrzciny pojutrze. Z kolei Joachim trzyma dziecko u Brusików. Tekla już pod pięćdziesiątkę i jeszcze powiła. Wczoraj zmarło dziecko Blanków, nie dożyło nawet miesiąca. Też chrześniak Joachima.

Czerwiec

Postanowiłam koniecznie odwiedzić moją nauczycielkę, pannę Bronikowską. Wybierałam się do niej już od dawna i stale mi coś przeszkadzało. P. Bronikowska mieszka niedaleko ulicy Węgierskiej, w niskim, niebieskim domku z granatowymi okiennicami, okolonym pełnym kwiatków ogródkiem. Gdy byłam u niej ostatni raz, ogródek leżał w śniegu, bo była akurat zima, teraz wybujał dorodną roślinnością. W otwartych oknach domku stały doniczki z krakowiakami.

Pani nauczycielka bardzo się z moich odwiedzin ucieszyła. Zmieniła się, biedaczka, widać już wiek po niej, lecz krząta się jeszcze dość żywo i tylko narzeka na oczy. Żali się, że niedowidzi i czytać nie może. Obiecałam jej przysłać Anielcię, która wprost ubóstwia książki i z chęcią poczyta staruszce.

Mieszkanko p. Bronikowskiej, kuchnię i dwa małe pokoiki, sprząta sługa państwa Aronich, przysyłana z uprzejmości p. Aroniowej, która uczyła razem z p. Bronikowską w Szkole Panieńskiej. Do sklepu p. Bronikowska wychodzi, do kościoła też, lecz mówi, że sił już ma coraz mniej. Podobno czasem odwiedzają ją uczennice i to sprawia jej wiele radości. Poczęstowała mnie kawą z mlekiem i cwibakiem, przyniesionym wczoraj przez sługę od państwa Lippayów, których córkę, Helenę, uczyła i bardzo lubiła.

Zaczęłyśmy rozmowę od Heleny Lippayówny, a skończyły na Szkole Panieńskiej, mieszczącej się obecniej w realności Anny Rudowej przy farze. Dyrektorką szkoły była Julia Schmidt, znana w całym mieście i ogólnie szanowana. P. Schmidt uczyła czterdzieści lat i całe swoje życie oddała szkole oraz uczennicom. Była nauczycielką z powołania. To samo można powiedzieć o p. Bronikowskiej, o p. Aroniowej i p. Brandenburgowej. Wtedy, gdy uczyła p. Bronikowska, szkoła żeńska była trzyletnia i dziewczęta niejednokrotnie powtarzały ostatnią klasę, aby pobierać dłużej naukę. Moja nauka trwała trzy lata. Potem dodano klasę czwartą, po latach piątą. P. Bronikowska opowiadała o księdzu Machaczku, który sprawował nadzór nad szkołą i zapisał się w pamięci nauczycielek i uczennic jako niedościgły wzór roztropności, dobroci, życzliwości i sprawiedliwości.

— Nie było ważnej sprawy — mówiła nauczycielka — której ksiądz nie załatwił możliwie z najlepszym skutkiem dla wszystkich. Wiele ubogich dziewcząt ubierał i dożywiał, wielu potrzebującym pomagał.

Do Szkoły Panieńskiej chodziły dziewczęta z zamożnych domów, ze sfery inteligenckiej, kupieckiej i rzemieślniczej, a także z biedoty. Oczywiście, los tych ostatnich był najsmutniejszy, nieraz przychodziły głodne, bose, miały starą, łataną odzież i właśnie nauczycielka z księdzem Machaczkiem starali się im pomóc.

P. Bronikowska z widocznym zadowoleniem cofała się w przeszłość. Co właściwie jej dziś pozostało poza wspomnieniem tamtych dni spędzonych w gwarze i ruchu szkolnym? Pożółkłe książki na etażerce i krakowiaki w oknach? Wracała więc myślami i słowami do chlubnych lat, gdy kierowała młodymi umysłami, otwierała przed nimi nieznany świat i przeżywała chwile małego triumfu. Może było to wtedy, kiedy oklaskiwano przygotowane przez nią przedstawienie, a może wówczas, gdy do naszego miasta przyjechał sam Najjaśniejszy Pan Cesarz Franciszek Józef i uczennice zatańczyły przed nim krakowiaka, za co otrzymały fotografię Najjaśniejszej Pani Cesarzowej Elżbiety. Panna Bronikowska opisywała mi to zdarzenie z rozrzewnieniem, które widać było aż tak silne, że dostarczało jeszcze po latach wzruszenia.

Miłe popołudnie spędziłam u p. Bronikowskiej i pożegnałam ją serdecznie, bo na to zasługuje.

(Ciąg dalszy za tydzień)

SPORT

Mały maraton

Wydział Kultury, Kultury Fizycznej i Turystyki Urzędu Miejskiego oraz Ośrodek Sportu i Rekreacji w Gorlicach są organizatorami **IV Półmaratonu Biegowego**, który przeprowadzony zostanie 8 września br. na trasie: Gorlice — Siary — Sękowa — Ropica Górna i z powrotem Sękowa — Siary — Gorlice (razem — 21,1 km). **Start o godz. 17 na Szklarczykówce, meta na stadionie GKS „Glinik".**

W biegu startować mogą zawodnicy i zawodniczki zrzeszeni i niezrzeszeni w PZLA, urodzeni w roku 1971 i starsi, o dobrym stanie zdrowia, potwierdzonym badaniem lekarskim.

Imienne zgłoszenia z podaniem adresu zamieszkania oraz wieku należy składać do 4 września br. pod adresem: **Ośrodek Sportu i Rekreacji w Gorlicach, pl. Armii Czerwonej 18, skr. poczt. 84, tel. 222-41 lub teleksem: Urząd Miejski Gorlice nr 0325675.** Możliwe będą również zgłoszenia w dniu zawodów do godz. 15.30 w biurze mieszczącym się w Hali Sportowej w Gorlicach, ul. Sienkiewicza. Uczestnikom zamiejscowym organizatorzy zapewnią noclegi z 8 na 9 września (zapotrzebowanie należy zgłaszać do 28 sierpnia br.). Wpisowe wynosi: dla dorosłych — 300 zł, dla młodzieży szkolnej — 150 zł. Wpłaty przyjmowane będą w biurze zawodów 8 września do godz. 16.30.

Zawodnicy przybywają na koszt własny lub jednostki zgłaszającej, pokrywają również koszty ewentualnego noclegu.

Na zwycięzców czekają puchary i nagrody rzeczowe, a wszyscy uczestnicy otrzymają proporczyki i dyplomy.

Józefa Stefaniszyn

Urodzona we Lwowie w 1911 roku, osiadła na Ziemi Sądeckiej. Absolwentka seminarium nauczycielskiego w Starym Sączu, więźniarka obozu w Ravensbrück, związana od młodości z harcerstwem. Długoletni sekretarz Nowosądeckiego Podokręgu Narciarskiego, liczne funkcje pełniła w Ludowych Zespołach Sportowych. Organizatorka zawodów lekkoatletycznych i zabaw dziecięcych. Autorka wielu inicjatyw programowo-organizacyjnych na rzecz szkolnej kultury fizycznej. Odznaczona Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Józef Borgosz

Ma 62 lata, pochodzi z Sułkowic. Absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego, założyciel i prezes Ludowego Klubu Sportowego „Poroniec" w Poroninie. Międzynarodowy sędzia narciarski, były lekkoatleta i piłkarz. Organizator dziesiątek imprez sportowych w środowisku wiejskim, inicjator mistrzostw Zrzeszenia LZS w narciarstwie. Podczas ubiegłorocznych obchodów 40-lecia Ludowych Zespołów Sportowych uhonorowany Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Wpisany do Księgi Zasłużonych Działaczy Kultury Fizycznej Województwa Nowosądeckiego.

Uwaga — konkurs!

Wydział Propagandy Głównej Kwatery ZHP przypomina wszystkim organizatorom Harcerskiej i Nieobozowej Akcji Letniej, iż trwa konkurs **„Na Najładniejszą Plakietkę HAL '87"**. Przedmiotem konkursu jest projekt graficzny plakietki. Oceniane będzie zarówno to, w jakim stopniu plakietka oddaje wartości ideowe HAL, jak i estetyka wykonania.

Warunkiem udziału w konkursie jest **nadesłanie do 30 września br. pod adresem Głównej Kwatery ZHP (00-491 Warszawa, ul. Konopnickiej 6)** przesyłki z dopiskiem „konkurs" zawierającej trzy egzemplarze plakietki oraz zapieczętowaną kopertę z następującymi danymi: imieniem, nazwiskiem oraz adresem autora projektu, nazwą i adresem zakładu, który plakietkę wykonał, i danymi organizatora obozu (akcji), na którym plakietki były wręczane.

Dla autorów i wykonawców najciekawszych i najładniejszych plakietek organizatorzy (wśród nich m. in. spółdzielczość pracy CZSP, Centralny Związek Rzemiosła, redakcje „Sugestii" i „Świata Młodych" oraz Pałac Młodzieży w Warszawie) — przewidzieli atrakcyjne nagrody i wyróżnienia.

Szczegółowa treść regulaminu konkursu zamieszczona jest w „Informatorze Harcerskiej Akcji Letniej" dostępnym we wszystkich komendach ZHP.

Międzynarodowy Turniej Piłkarski

W Limanowej rozegrano IX Międzynarodowy Turniej Piłkarski juniorów o Puchar Przewodniczącego Towarzystwa Miłośników Ziemi Limanowskiej. Uczestniczyły zespoły: TJ „Dynamo" z Dolnego Kubina (CSRS), KS „Limanovia", KKS „Sandecja" oraz KS „Wisłoka" z Dębicy.

I miejsce przypadło drużynie „Dynama", II — „Limanovii", III — „Wisłoce", a „Sandecja" znalazła się na IV miejscu.

Najlepszym strzelcem turnieju został **Paweł Pięta z KS „Limanovia"** (6 bramek), a najlepszym bramkarzem **Juraj Baricak z „Dynama"**.

43 Rajd Tatrzański

W dniach 5 i 6 września br. w Nowym Targu rozegrany zostanie 43. Motocyklowy Rajd Tatrzański, organizowany przez nowotarski Auto-Moto-Klub z udziałem zawodników z całego kraju. Jest to IX i X Eliminacja Mistrzostw Polski w Rajdach Obserwowanych.

Do startu w zawodach dopuszczone będą wszystkie motocykle grupy A 1 spełniające warunki regulaminu. Trasę rajdu stanowią każdego dnia trzy 10-kilometrowe okrążenia, będzie na nich usytuowane 3 razy po 12 odcinków obserwowanych jednosekcyjnych. Trasa, jaką należy pokonać drugiego dnia zawodów, stanowić będzie odwrotność trasy pierwszego dnia. Czas przejazdu — 300 minut. Odbiór techniczny pojazdów nastąpi 5 września w godz. 8—10 i 6 września w godz. 7—8; pojazd po przeglądzie będzie oddany do parku zamkniętego.

Zgłoszenia uczestnictwa w rajdzie należy przesyłać pod adres organizatora: **Auto-Moto-Klub, ul. Szaflarska 103 a, 34-400 Nowy Targ, tel. 56-71 w godzinach 17—20.** Wpisowe wynosi 600 zł. **Ostateczny termin zgłoszeń mija 25 sierpnia br.** Równocześnie ze zgłoszeniem należy złożyć zamówienie na zakwaterowanie i wyżywienie.

Dla najlepszych przewidziane są nagrody rzeczowe i puchary.

CZESŁAW WRONA

GAWĘDY TATERNICKIE

Zupa — herbata

Pewnego lata gościliśmy w Tatrach grupę kilkunastu Włochów, członków **Komisji Speleologii Włoskiej Federacji Turystycznej. W programie mieliśmy wejście do jaskini Czarnej, którą wybraliśmy jako dość bezpieczną, tym bardziej, że** nie znaliśmy poziomu umiejętności chodzenia po jaskiniach naszych sympatycznych gości.

Nasza przezorność była słuszna, o czym przekonaliśmy się już w trakcie podejścia pod otwór jaskini. Większość gości miała zupełnie dość w połowie podejścia. Grupę prowadził Staszek, ja zaś poganiałem maruderów w ogonie tego nadmiernie już wydłużonego peletonu.

Pod otworem żałowaliśmy, że daliśmy się wciągnąć w tę zabawę i że jest nas tylko dwóch. Założyliśmy linę zjazdową, przygotowaliśmy stanowisko asekuracyjne i rozpoczęliśmy **zjazd do jaskini. Pierwszy ruszył Staszek, a ja zostałem do asekurowania wszystkich Włochów. Namęczyłem się strasznie, bo po pierwszych ruchach zjeżdżających zorientowałem się, że raczej będę musiał ich zwozić na linie w dół niż asekurować.** Zaparłem się więc w stanowisko i czułem, jak mi lina przecina kombinezon.

Kiedy dwóch ostatnich zaczęło po starcie jechać głową w dół, miałem serdecznie dosyć wszystkiego. Jako ostatni szybko zjechałem i lądując koło Staszka zapytałem:

— Co robimy? to jest całkiem niewesołe!

— Idziemy spokojnie dalej, zobaczymy co będzie — odpowiedział.

No i oglądaliśmy, na zupełnie łatwych odcinkach drogi, rzeczy tak straszne, że mrówki ganiały nam po grzbietach, a krew mroziła się w żyłach. Bez przerwy robiliśmy z siebie żywe drabiny, podesty, schody, a palce nam puchły od podtrzymywania ślizgających się na każdym stopniu włoskich butów wraz z ich właścicielami.

Na wyższych nieco progach podzieliliśmy role: Staszek wypychał delikwentów w górę i łapał spadających, ja zaś służyłem jako poręcz i szarpałem to towarzystwo w kierunku pionowym. Zdarzyło się nawet, że Staszek wyłapywał spadającego Włocha ze mną w objęciach.

W końcu, maksymalnie już wyczerpani, dotarliśmy pod Komin Węgierski. Od momentu zjazdu do jaskini minęło już około czterech godzin. Było oczywiste, że dalej nie możemy iść. Trzeba coś wymyśleć. Przed wejściem gorąco im tłumaczyliśmy, że będzie ciekawie, bo to najdłuższa jaskinia Polski.

— Staszek, zrób herbatę, pomyślimy — powiedziałem nie wiedząc co dalej robić.

W czasie pojenia tej „ekspedycji" ustaliliśmy, że wytłumaczymy Włochom konieczność odwrotu z powodu gwałtownego załamania pogody na powierzchni. Do tego celu miało nam służyć Szmaragdowe Jeziorko za Kominem Węgierskim, które mieliśmy pokazać dwóm najlepszym z włoskiej ekipy, jako zalane przejście do dalszych partii jaskini.

Oficjalnie ogłosiliśmy wyjście na rekonesans w górę Komina w składzie: dwóch Włochów i ja. Staszek zabrał się do przygotowania kolejnej herbaty. Planowałem straszliwie długotrwałą wspinaczkę, mając na uwadze zmitrężenie jak najdłuższego czasu, a Staszek miał być wodzirejem pod Kominem Węgierskim.

Wspinaliśmy się, a on przygotowywał zupę błyskawiczną dla pozostałych. Piąłem się w górę drogą tak niespotykaną, wyczyniając przeróżne sztuki techniczne, aż Staszek z dołu parę razy krzyczał, czy się dobrze czuję. Odpowiadałem, że wszystko w porządku, że czas leci i niech się stara na dole. Z góry oglądałem, jak przygotowuje kolejną herbatę, a należy wspomnieć, że Włosi są narodem, który za herbatą raczej nie przepada.

Minęły już dwie godziny moich harców w ścianie. Przynajmniej nie marzłem. Na dole robili sobie zdjęcia, śpiewali i jedli kolejne zupki błyskawiczne przeplatane herbatkami. W końcu trzeciej godziny nasza trójka dotarła nad Szmaragdowe Jeziorko, gdzie świetnie wyrecytowałem bajeczkę o załamaniu pogody i zaraz wróciliśmy na Komin. Krzyknąłem do Staszka, że już jesteśmy.

— Zupy się skończyły! — usłyszałem z dołu.

— To zrób im herbatę! — odkrzyknąłem.

Zaczęliśmy spokojnie zjeżdżać w dół. Gdy wylądowaliśmy wśród całego towarzystwa, „moi" Włosi wytłumaczyli kolegom, że trzeba wracać, a ja oczywiście zaproponowałem kolejną... herbatę.

Po tym wszystkim czekała nas mordercza podróż do otworu. Szczęśliwie wszyscy zdrowi i tylko lekko potłuczeni stanęliśmy na powierzchni. Staszek i ja słanialiśmy się na nogach.

W tej jaskini pobiliśmy chyba wszystkie rekordy nienormalnego chodzenia pod ziemią. O rekordzie spożytych zup i herbat już nie wspomnę. Niewątpliwym jest też, że Włosi doskonale poznali dwa słowa z naszego języka, to jest — zupa i herbata.

Akcentują to do dzisiaj, witając się z nami:

— Ciao, zupa, herbata! — lub: Saluto, zupa, herbata!

Głos Glinika

MDW „Glinik" na pełnych obrotach

Wczasowicz potrzebuje niewiele: słonecznej pogody, dobrego jedzenia, wygodnego łóżka i od czasu do czasu godziwej rozrywki. Ci, którzy decydują się spędzić urlop w Międzyzakładowym Domu Wczasowym „Glinik" w Wysowej, nie mają powodów do niezadowolenia. Jeśli — oczywiście — pogoda dopisze.

Na prawie 150-osobowym turnusie w pierwszej połowie sierpnia przebywała grupa 28 wczasowiczów z NRD. „Glinik" wymieniał miejsca z fabryką DEHAK w Mysłowicach, która z kolei gości sąsiadów zza Odry. Było też kilkanaście rodzin pracowników krakowskiego GEORYTU. Jak zwykle większość stanowili górnicy ze Śląska. Wypoczywało i dwóch(!) pracowników Fabryki Maszyn.

Skoro o wczasowiczach mowa — parę ciekawostek. Do MDW przyjeżdża sporo zagorzałych miłośników Wysowej. Corocznie spędzają tu urlopy. Bywają tacy, którzy zimą leczą się na turnusach sanatoryjnych, a latem korzystają z wczasów. Oprócz walorów klimatycznych Wysowej, najbardziej cenią sobie brak ruchu samochodowego i tłoku na alejkach parkowych.

Dla personelu „Glinika" lato nie jest okresem łatwym. Funkcjonowanie obiektu nie może być gorsze niż w ciągu całego roku, a przecież i pracownicy chcą wykorzystać urlopy. Jedynym wyjściem są zastępstwa i np. pielęgniarka przejmuje funkcje recepcjonistki.

Letnie zmiany widoczne są też od kuchni. Nad wyżywieniem wczasowiczów i kuracjuszy czuwają od początku: JADWIGA GÓRSKA — kierowniczka żywienia i zaopatrzenia wraz ze STANISŁAWĄ KOSIBĄ — szefową kuchni. Tę drugą w sierpniu zastąpił JERZY SZUBA. Z pamiątkowej księgi MDW wynika, że kuchnia i obsługa w stołówce zbierają najwięcej pochwał. Wymaga to nie lada wysiłku, gdyż zaopatrzenie Wysowej w artykuły spożywcze jest kiepskie. Miejscowi twierdzą nawet, że latem znacznie się pogarsza. Dostawy mleka są dwa razy w tygodniu, choć tylko nieliczni mieszkańcy tej miejscowości mają własne krowy. Ale stołownicy „Glinika" tych niedostatków nie odczuwają.

Zakupy robi się w Gorlicach, gdzie „Glinik" — od dawna stały odbiorca — ma zapewniony dobry towar. Pod tym względem handlowcy z gminy Uście Gorlickie nie stanęli na wysokości zadania. Szkoda, bo przez dowóz surowców z Gorlic, Fabryka ponosi większe koszty, a miejscowa Gminna Spółdzielnia traci na takim interesie!

— *W okresie, gdy nasz Dom przekształca się w sanatorium, potrzeby są większe* — dowiadujemy się w kuchni „Glinika". — *Kuracjusze stosują diety, musimy im zapewnić różne gatunki mięs, wędlin. Z kolei latem wydajemy więcej posiłków, bo stołują się tu osoby zakwaterowane poza naszym obiektem, np. na campingu, w hotelu lub pod namiotem.*

Dla ZBIGNIEWA CHMAJA, kaowca pełniącego również obowiązki kierownika MDW, sezon urlopowy niewiele różni się od innych miesięcy roku. Tylko mniej jest chętnych na wieczorki taneczne. Powód: latem większość urlopowiczów to małżeństwa z dziećmi.

Wczasowiczom pan Zbigniew proponuje podobny program jak kuracjuszom: bliskie i dalekie wycieczki, spacery, spotkania, prelekcje. Oczywiście podczas 24-dniowego turnusu leczniczego jest ich odpowiednio więcej niż podczas 14-dniowych wczasów. Wielką stratą jest rezygnacja przez gorlickie kino „Wiarus" z pracy kina objazdowego, które regularnie odwiedzało Wysową. Nie wszystkich przecież zadowala telewizja...

— *Nie jestem pewien, czy wczasowiczom wystarczą rozrywki, które im proponuję* — mówi Z. Chmaj. — *W tym roku po raz pierwszy Gminny Ośrodek Kultury urządził w Wysowej festyn z okazji święta 22 lipca. Były występy zespołów dziecięcych i folklorystycznych, konkursy, zabawy, turnieje. To podobało się wczasowiczom, chętnie oklaskiwali występujących. Podobne imprezy mogłyby się odbywać częściej, jak w innych uzdrowiskach.*

Po drugim sierpniowym turnusie MDW będzie zamknięty przez 10 dni. Dopiero po przerwie przyjmie kuracjuszy. W tym czasie dokładnie uporządkuje się pokoje, naprawi drobne usterki, pomaluje trzecie piętro. Między turnusami zawsze brakuje czasu na taką kosmetykę. Na dobrą sprawę, raz na kilka lat nie zaszkodziłby „Glinikowi" dłuższy przestój, choćby półroczny, potrzebny na wielkie porządki i odświeżenie budynku. Wówczas, być może, pan Zbigniew wykorzystałby wreszcie zaległy urlop...

Dzieci są zadowolone

Od trzech lat stałymi gośćmi campingu „Beskid" są dzieci pracowników Fabryki, przyjeżdżające tu na kolonie. Niedaleko, więc rodzicom łatwo je odwiedzać, a w razie konieczności — w każdej chwili zabrać z powrotem. Na szczęście jeszcze nie było takiego przypadku.

W pierwszych dniach sierpnia odwiedziliśmy dziewczęta i chłopców w „Beskidzie". Prawie wszyscy są pierwszy raz na kolonii. „Brzózki" i „Wyrwidęby" — tak nazywają się dwie grupy. Ich opiekunami są: JÓZEFA ZIMIA — kierowniczka kolonii oraz MARIA KLIMEK i RYSZARD SOWA — wychowawcy. Jak zwykle koloniści korzystają ze stołówki sąsiedniego ośrodka ZSMP.

EWA FURMANEK, uczennica szkoły nr 5, i ANDŻELIKA TUMIDAJEWICZ z „czwórki" zapewniają, że nikt się tutaj nie nudzi. — *Chodzimy na wycieczki, zwiedziliśmy rozlewnię wody mineralnej „Wysowianka", byliśmy w bacówce, w strażnicy WOP na granicy, w Dolinie Łopacińskiego. Chodząc po lesie rozpoznajemy drzewa. Urządziliśmy konkursy piosenek i recytacji, turnieje tenisa i badmintona. Lubimy śpiewać przy ognisku. Sami ułożyliśmy hymn kolonii. Prowadzimy kronikę.*

— *Jestem pierwszy raz na kolonii* — mówi Ewa. — *Na pewno pojadę na następne, ale najchętniej znowu przyjechałabym do Wysowej.*

Wystarczy trochę podnieść standard...

Z górą 10 lat ośrodek campingowy „Beskid" czekał na tak gruntowny remont jaki teraz przechodzi. Ciągle brakowało środków na ten cel. Dobry więc był pomysł powierzenia wydziałom Fabryki opieki nad poszczególnymi domkami. Prawie wszystkie wywiązały się z tego wzorowo. Tylko wydziały obudów i obróbki cieplnej jeszcze swoich domków nie odnowiły. Teraz, gdy się patrzy na te dwa niewyremontowane — widać, w jakim stanie były wszystkie.

Dzięki sfinansowaniu przez Związek Zawodowy remontu domu zwanego leśniczówką, i on także — mimo podeszłego wieku — wygląda jak nowy. Ostatni w kolejce do odnowienia jest budynek socjalny. Jego przyszły stan i wyposażenie zadecydują o warunkach pobytu w ośrodku. Przewiduje się nie tylko odnowienie obiektu, ale i poważniejszą przeróbkę. Przybędą nowe pomieszczenia sanitarne, kuchnia turystyczna.

Być może z powodu braków w wyposażeniu ośrodek, nie przyciągał dotychczas urlopowiczów. Był jednak ulubionym miejscem sobotnio-niedzielnego wypoczynku. Od czasu do czasu goszczą tu także sportowcy — na obozie kondycyjnym. Nie mając innych obiektów położonych dalej od Gorlic — Fabryka urządza tu również kolonie.

Mimo wszystko jednak rację ma WŁADYSŁAW MATUSIK — szef „Beskidu", gdy mówi, że nie doceniono w pełni tego ośrodka. Poza niewątpliwymi walorami, jak klimat, położenie, niezłe wyposażenie — ma dodatkowe zalety: jest blisko Gorlic, a przez to łatwiejszy w eksploatacji niż gdyby był nad morzem czy na Mazurach. Mniejsze stosunkowo są koszty transportu materiałów do ewentualnego remontu czy rozbudowy elementów nowego wyposażenia. Łatwy jest kontakt z Fabryką. To wystarczy, żeby „Beskid" zasłużył na większe niż dotychczas zainteresowanie gospodarza. Po ulepszeniu wyposażenia podniesie się standard campingu. Można go wtedy śmiało oferować zakładom z północy kraju, a w zamian otrzymać miejsca w podobnym ośrodku, leżącym w innym regionie. Można go też odpowiednio zareklamować i udostępnić wszystkim poszukującym w Wysowej miejsc wczasowych lub na kilkudniowy pobyt. Podobnych ośrodków nie ma w okolicy. Są tylko sanatoria, mały hotel komunalny i jedyna baza namiotowa SKPB.

Przed rokiem w Wysowej spotkali się uczestnicy XXV Ogólnopolskiego Rajdu Hutników. Usytuowanie „Beskidu" bardzo się tym turystom podobało. Szkoda zmarnować taką szansę...

Ciekawa statystyka

Codziennie dla każdego pracownika Fabryki dzień pracy rozpoczyna się w ten sam sposób: od podpisania listy i oddania przepustki, czyli udokumentowania swojej obecności. Listy i przepustki sprawdza administracja wydziału, po czym telefonicznie meldunki są wysyłane do działu spraw osobowych. Wincenty Brudnik wpisuje te dane do odpowiednich arkuszy.

Tak powstają raporty o stanie obecności. Wynika z nich wyraźnie, że absencja chorobowa oraz urlopy bezpłatne układają się w stały cykl roczny. Pokrywa się on z okresowym wzrostem ilości urlopów wypoczynkowych. W miesiącach jesiennych i zimowych liczba urlopów utrzymuje się na stałym, niewysokim poziomie. Na wiosnę nieco się waha. Od czerwca do sierpnia „krzywa" wznosi się stromo w górę.

Dla zobrazowania tego posłużmy się danymi z wydziałów produkcyjnych: 25 maja br. na urlopie przebywało 414 osób, 25 czerwca — 715. Dokładnie miesiąc później — 1305, 30 lipca — 1396, 31 lipca — 1416, 7 sierpnia — 1607.

A oto inne dane z tych samych raportów: 25 lipca 1984 roku nieobecnych z powodu urlopu było 795 pracowników. Tego dnia w 1985 r. już 804. W ubiegłym roku — 960, a w bieżącym 1305... Dla ścisłości dodajmy, że liczba zatrudnionych w tych latach nie zmieniała się wiele. W bieżącym roku nawet zmalała nieco w porównaniu z rokiem ubiegłym.

Używając określenia zaczerpniętego ze słownika propagandy sukcesu, rzec by można: dynamika urlopowania rośnie.

Pan Dziunek

Pan Dziunek jest kierownikiem campingu „Beskid" w Wysowej, a przy tym w jednej osobie: administratorem, recepcjonistą, stróżem, palaczem, konserwatorem i... przyjacielem wszystkich gości ośrodka. Niezależnie od tych funkcji jest również jednym z prawdziwych miłośników tego uzdrowiska. Znają go mieszkańcy Wysowej, bywalcy campingu, pracownicy Fabryki...

Zaczął tu pracować, gdy jeszcze ośrodek był własnością „starego" związku zawodowego pracowników państwowych i społecznych. Po zmianie gospodarza pan Dziunek miał do wyboru Żegiestów, Piwniczną i Wysową. Został tutaj. Jak twierdzi — zrobił tak, bo wierzy w to miejsce. Że prędzej czy później zostanie na nowo odkryte, docenione, doinwestowane, przygotowane do roli znaczącego uzdrowiska. Tutejsze zasoby wód mineralnych zadecydują o przetrwaniu Wysowej, gdy skończą się źródła krynickie, iwonickie. Piękno krajobrazu i bogactwo lasów przyciągną rzesze tych, którym obrzydnie miejski charakter naszych kurortów.

Pan Dziunek pracuje od rana do nocy, bo nikt go nie zastąpi. Ale nie jest tym znużony, zgaszony, ponury. Wszyscy znają go jako wesołka, lubiącego towarzystwo, miłośnika przyrody.

Gdyby ktoś spytał pana Dziunka co go tu trzyma, jaki ma w tym interes, że nie chce odejść do innej pracy — na pewno by się uśmiechnął zdziwiony takim pytaniem. Bo wystarczy przeżyć w „Beskidzie" jeden sezon, poznać przewijających się gości, wpatrzyć się w zieleń otoczenia, najeść się dzikich malin, zakosztować ciszy i spokoju, a odpowiedź nasunie się sama. Pod jesień na polanach, tuż obok, zacznie się jelenie rykowisko, pojawią się grzyby i jesienni goście. Czegóż więcej miałby szukać?

Kolumnę „Głos Glinika" redaguje KRZYSZTOF KAMIŃSKI

KRZYŻÓWKA NR 33

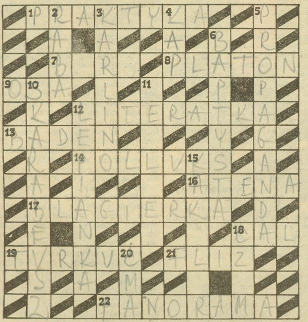

POZIOMO: 1) przystosowanie teorii do rzeczywistości, 7) zimny wiatr nad Morzem Adriatyckim, 8) filozof grecki (ok. 427—347 p.n.e. uczeń Sokratesa, 9) marka skutera, 12) szklaneczka na wino, 13) uzdrowisko w Austrii ze słynnymi cieplymi źródłami, 14) kojarzy się z Kastorem, 16) córka Zeusa, 17) kłamczucha, 18) to samo co 25,4 milimetra, 19) kojarzy się z podjadkiem, 21) niejeden w łazience, 22) ogół malowidła.

PIONOWO: 2) dopływ Wisły, 3) miasto nad Parsętą, 4) przylądek — określenie przeważnie nadawane łącznie z nazwą, 5) rozpowszechnianie, krzewienie, 6) członek sekty religijnej uznającej powtórny chrzest w starszym wieku, 10) owad czczony w starożytności przez Egipcjan, 11) marka samochodu, 12) chata z chrustu oblepiona gliną, 15) rodzaj kosza z siedzeniem zawieszonego na kolejce pochyłej, 18) czar, 20) nocny motyl.

„MIR-BUD"

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 28 września br.

Rozwiązanie krzyżówki nr 31

POZIOMO: 1) skarb, 2) karuk, 6) okręg, 9) artel, 10) Bantu, 11) ekler, 12) Toruń, 13) stras, 16) zapał, 19) łowca, 20) mason, 21) draga, 24) koksa, 27) wiatr, 30) płyta, 31) układ, 32) kitel, 33) ruada, 34) orkan, 35) teren.

PIONOWO: 1) skaut, 2) aktor, 3) boleń, 4) kabat, 5) renta, 7) rolka, 8) garda, 13) skład, 14) rewia, 15) sława, 16) zamek, 17) pasek, 18) łania, 22) reper, 23) grypa, 25) obłok, 26) Sudan, 27) wakat, 28) aster, 29) rulon.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 31, drogą losowania, nagrody otrzymują: **Andrzej Dunajczan** z Małego Cichego oraz **Jerzy Nowak** z Nowego Sącza.

Nagrody książkowe prześlemy pocztą.

HOROSKOP

BARAN: wystarczy tylko wyciągnąć rękę, uczynić gest, chciej być zrozumiany — bierne czekanie nie przyniesie ci żadnych korzyści.

BYK: masz wiele dobrej woli, by utrzymać wokół siebie porządek, spokój i harmonię — bądź ostrożny, nie rezygnuj z własnych ambicji, by mieć uporządkowane, bezstresowe życie.

BLIŹNIĘTA: wykorzystaj swoje umiejętności nawiązywania kontaktów z ludźmi, wpływania na nich, łatwego przekonywania — właśnie teraz jest to ci najbardziej potrzebne.

RAK: nie zważając na koszty, chcesz być przede wszystkim niezależny, sam stanowić o sobie — bądź jednak przygotowany na przykre niespodzianki, szczególnie jeśli natrafiłeś na kogoś podobnego do siebie.

LEW: jeśli rzeczywiście nie masz co robić, możesz snuć dalekosiężne plany, budować zamki z piasku — może to tylko poprawić samopoczucie, twojej sytuacji nie zmieni.

PANNA: teraz świetnie poradzisz sobie w życiu, bez problemów przejdziesz obok (!) najtrudniejszych sytuacji — bądź jednak tego świadomy, to dobra nauczka na przyszłość.

WAGA: jesteś słaby, ciągle się wahasz, nie potrafisz podjąć decyzji — przez jakiś czas jeszcze możesz sobie na to pozwolić, ale w krytycznych momentach musisz przełamać swoją bierność, to już niedługo.

SKORPION: nie udawaj, że wszystko wiesz najlepiej, nie bądź zawsze surowym sędzią, nie bój się przyznać do błędu — to jeszcze bardziej podbuduje twój autorytet, a nieżyczliwym wytrąci argumenty.

STRZELEC: nadszedł czas inwestowania w innych, musisz dać coś z siebie, bo dotychczas przede wszystkim brałeś — bliskie kontakty są ci teraz bardzo potrzebne, dbaj o nie.

KOZIOROŻEC: najtrudniej będzie pogodzić własne ambicje i niechęć do wchodzenia w drogę innym — być może uda ci się to, ale chyba będziesz musiał komuś się narazić.

WODNIK: będziesz w swoim żywiole, wiele wydarzeń, wiele spotkań, kontakty z nowymi ludźmi — nie planuj jednak wielkich przedsięwzięć, to wszystko szybko minie, broń się więc przed rozczarowaniem.

RYBY: osiągnąłbyś o wiele więcej, gdybyś wyszedł ze swojej skorupy, odważył się na otwarte kontakty z tymi, na których ci zależy — jeśli ich zniechęciłeś, to teraz pierwszy krok powinieneś zrobić właśnie ty.

ZARZĄD SPÓŁDZIELNI MIESZKANIOWEJ W GORLICACH

ZAWIADAMIA

że w okresie od 13 sierpnia do 9 września 1987 r. w siedzibie Spółdzielni Mieszkaniowej w Gorlicach przy ul. 1 Maja 2 wywieszone zostały PROJEKTY LIST PRZYDZIAŁU MIESZKAŃ z efektów 1987 r. K-7306

PRZETARGI

Nadleśnictwo Krościenko 34-450 w Krościenku n. Dunajcem, ul. Trzech Koron 4, tel. 32-97, 30-03 sprzeda W DRODZE PRZETARGU NIEOGRANICZONEGO — ciągnik Ursus C-385, rok prod. 1980, stopień zużycia 64 proc., przebieg od początku eksploatacji 2.445 Mtg, cena wywoławcza 720.000 zł.

Przetarg odbędzie się dnia 7 września 1987 r. o godz. 12 w świetlicy Nadleśnictwa.

Ciągnik można oglądać od 24 sierpnia 1987 r. w siedzibie Nadleśnictwa. Wadium w wysokości 10 proc. wywoławczej należy wpłacić najpóźniej do godz. 10 w dniu przetargu w kasie Nadleśnictwa.

Jednocześnie Nadleśnictwo Krościenko zastrzega sobie prawo unieważnienia przetargu bez obowiązku podania przyczyn. K-7307

Ogłoszenia drobne

SPRZEDAŻ

CIĄGNIK C-355 po remoncie — sprzedam. Nowy Sącz, tel. 235-89. D-32724

LOKALE

TRZYPOKOJOWE mieszkanie spółdzielcze, 70 m2, w Krakowie — zamienię na Brzesko lub Nowy Sącz. Oferty 29439 „Prasa" Kraków, Wiślna 2.

OBWIESZCZENIA

Prawomocnym orzeczeniem Kolegium Rejonowego ds. Wykroczeń przy Naczelniku Miasta Nowego Targu z dnia 9 czerwca 1987 r. nr rej. SA 6120/529/87, **Zbigniew Jędrol**, syn Józefa, ur. 29.01.1962 r. zam. Nowy Targ Waksmundzka 83, obwiniony o to, że dnia 21 kwietnia 1987 r. o godz. 14 w sklepie monopolowym nr 2 w Nowym Targu przy ul. Waksmundzkiej, będąc po użyciu alkoholu awanturował się w stosunku do personelu sklepu w obecności innych konsumentów usiłując w ten sposób wymusić podanie alkoholu, został uznany winnym popełnienia zarzucanego mu czynu stanowiącego wykroczenie z art. 51 § 1 i 2 kw ustawy z dn. 20.05.1971 r. (Dz. U. nr 12, poz. 114) z późniejszymi zmianami i na podstawie art. 51 § 2 ww. ustawy i art. 31 kw wymierzono mu jako karę zasadniczą grzywnę w wys. 35.000 zł z zamianą w razie nie uiszczenia w terminie na 70 dni aresztu zastępczego przyjmując 1 dzień aresztu za równoważny grzywnie w wys. 500 zł oraz jako karę dodatkową podanie treści orzeczenia do publicznej wiadomości w tygodniku „Dunajec" na koszt obwinionego. Ponadto orzeczono zapłatę kosztów postępowania w kwocie 1.000 zł. K-7308

Prawomocnym wyrokiem Sądu Rejonowego w Limanowej z dnia 22 czerwca 1987 roku sygn. akt II K 146/87 oskarżeni:

— **Eugeniusz Cedzidło**, ur. 1 stycznia 1954 r. w Zalesiu, syn Jana i Józefy z d. Mamak, zam. Zalesie 47

— **Stanisław Wierzycki**, ur. 28 marca 1941 r. w Zalesiu, syn Andrzeja i Marii z d. Wierzycka, zam. Zalesie 44,

— **Stanisław Cedzidło**, ur. 2 listopada 1966 r. w Kamienicy, syn Jana i Józefy z d. Mamak, zam. Zalesie 47,

— **Jan Faron**, ur. 21 maja 1959 r. w Zalesiu, syn Jana i Józefy z d. Kwit, zam. Zalesie 144.

o przestępstwo z art. 55 pkt. 7 ustawy z dnia 17 czerwca 1959 r. o hodowli, ochronie zwierząt łownych i prawie łowieckim (Dz. U. Nr 36, poz. 226) polegające na tym, że w dniu 10 marca 1987 r. w Obwodzie Łowieckim „Gorce" w Zalesiu rejonu limanowskiego, działając wspólnie i w porozumieniu wzięli udział w polowaniu nie mając uprawnień do polowania, przy czym Eugeniusz Cedzidło i Stanisław Wierzycki posługiwali się bronią palną i psem w trakcie którego upolowali jednego kozła wartości 20.000 zł na szkodę Koła Łowieckiego „Gorce", a nadto oskarżonego Stanisława Wierzyckiego o przestępstwo z art. 286 kk polegające na tym, że od lutego do 13 marca 1987 r. w Zalesiu rejonu limanowskiego bez wymaganego zezwolenia posiadał broń palną w postaci jednolufowej strzelby wytworzonej sposobem samodziałowym, oraz oskarżonego Eugeniusza Cedzidło o przestępstwo z art. 286 kk polegające na tym, że od 6 marca 1987 r. do 13 marca 1987 r. w Zalesiu rejonu limanowskiego bez wymaganego zezwolenia posiadał broń palną dubeltówkę kal. 16 typu myśliwskiego, skazani zostali na kary:

— Eugeniusz Cedzidło — karę łączną 1 roku i 6 miesięcy pozbawienia wolności i 300.000 zł grzywny,

— Stanisław Wierzycki — karę łączną 1 roku i 6 miesięcy pozbawienia wolności i 300.000 zł grzywny,

— Stanisław Cedzidło — karę 1 roku pozbawienia wolności i 100.000 zł grzywny,

— Jan Faron — karę 1 roku pozbawienia wolności i 100.000 zł grzywny.

Sąd zawiesił oskarżonym wykonanie kar pozbawienia wolności na okres próby lat 4.

Jednocześnie Sąd orzekł kary dodatkowe:

— przepadek broni palnej,

— podanie wyroku do publicznej wiadomości. K-7305

Prawomocnym orzeczeniem Kolegium Rejonowego ds. Wykroczeń przy Naczelniku Miasta Nowego Targu z dnia 23 czerwca 1987 r. nr rej. SA 6120/241/87, **Władysław Dydyński**, syn Jana, ur. 26.10.1953 r. zam. Nowy Targ, os. Zawadzkiego 23/2, obwiniony o to, że w okresie od 1.07.1986 r. do dnia 10.02.1987 r. w Nowym Targu nie pozostaje w stosunku pracy, ani nie pobiera nauki w szkole, a także nie jest zarejestrowany jako poszukujący pracy w Wydziale Zatrudnienia, został uznany winnym popełnienia zarzuconego mu czynu stanowiącego wykroczenie z art. 20 pkt. 1 ustawy o postępowaniu wobec osób uchylających się od pracy (Dz. U. nr 35, poz. 229) z dn. 26.10.1982 i na podstawie art. 20 pkt. 1 cyt. ustawy wymierzono mu jako karę zasadniczą trzy miesiące ograniczenia wolności polegającej na obowiązku podjęcia pracy w uspołecznionym zakładzie pracy wskazanym przez Wydział Zatrudnienia Urzędu Miasta Nowego Targu z 15 proc. potrąceniem z wynagrodzenia na rzecz PKPS Oddział Nowy Targ oraz jako karę dodatkową podanie treści orzeczenia do publicznej wiadomości w tyg. „Dunajec" na koszt obwinionego. Ponadto orzeczono zapłatę kosztów postępowania w wys. 1.000 zł na koszt obwinionego. K-7307

DUNAJEC — tygodnik Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Redaguje zespół: Danuta Binek, Beata Dembowska, Elżbieta Glinka (z-ca redaktora naczelnego), Krzysztof Kamiński, Lucyna Kaszuba, Jerzy Leśniak, Adam Ogorzałek (redaktor naczelny), Franciszek Palka (redaktor graficzny), Krzysztof Podbiera (z-ca sekretarza redakcji), Michał Sroka (redaktor techniczny), Anna Szopińska. Adres redakcji: 33-300 Nowy Sącz, al. Wolności 49. Telefony: 238-36, 238-90. Teleks: 0322748. Oddział w Krakowie: ul. Wielopole 1, pok. 502, telefon: 22-75-88 wewn. 161, teleks: 0322491. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch", Krakowskie Wydawnictwo Prasowe w Krakowie, ul. Wiślna 2. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch", Kraków, al. Pokoju 3.

Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Ogłoszeń, ul. Wiślna 2, 31-007 Kraków, telefon 22-70-89 oraz wszystkie Biura Ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch" na terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 23, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie, nr 1153-201045-139-11. Nr indeksu 35657.

Prenumeratorzy indywidualni w miastach dokonują wpłat na poszczególne kwartały bieżącego roku: do 28 lutego na II kwartał, do 31 maja na III kwartał, do 31 sierpnia na IV kwartał.

D-7

na ekranie

PIĄTEK — 21 VIII

PROGRAM I

9.00 „Teleferie najmłodszych"
9.30 Kino Teleferii: „Kaczperek" (6)
10.00 DT — wiadomości
10.10 Film dla II zmiany: „Eksperyment Ewy" — film obyczajowy prod. CSRS
16.55 Program dnia
17.00 Wakacje
17.15 Teleexpress
17.30 Wakacje
18.40 Rzemieślnicy
18.50 Dobranoc
19.00 Monitor rządowy
19.30 Dziennik
20.00 XXIV Międzynarodowy Festiwal Piosenki — Sopot '87
21.45 Żniwa '87
22.05 Sopot '87
22.50 DT — komentarze
23.10 „Dekada zniszczenia" — serial anglo.
0.05 Zakończenie programu

PROGRAM II

17.55 Program dnia
18.00 Kronika
18.30 102 — magazyn kult.-mux.
19.30 Poznaj swój kraj — Pałuki
20.00 Studio Sport
20.50 Antyczny świat prof. Krawczuka
21.30 Panorama dnia
21.45 „Przyszłego lata" — film prod. francuskiej
23.30 Stan krytyczny
24.00 Wieczorne wiadomości

SOBOTA — 22 VIII

PROGRAM I

8.25 Program dnia
8.30 „Tydzień na działce"
9.00 Dla młodych widzów: „Timur i inni"
10.30 DT — wiadomości
10.40 „Stare, nowe, najnowsze"
11.30 „Salon poezji użytkowej" (3)
11.50 „Bariery"
12.20 Telewizyjny koncert życzeń
12.50 „Na ziemi i w powietrzu"
13.20 „Wędrówki dalekie i bliskie"
14.40 Robert Bolt — „Vivat, vivat Regina"
16.40 „Kram"
17.15 Teleexpress
17.30 Losowanie Dużego Lotka
17.40 Telewizyjny film dok.: „Kołowrót"
17.55 Studio Sport
18.50 Dobranoc
19.00 „Z kamerą wśród zwierząt"
19.30 „Magnes"
19.30 Dziennik
20.00 XXIV Międzynarodowy Festiwal Piosenki — Sopot '87 — Koncert laureatów cz. 1
21.40 „Czas"
22.10 Sopot '87 — Koncert laureatów, cz. 2
23.35 DT — wiadomości

PROGRAM II

14.55 Powitanie
15.00 „Sceny z życia Marii" — film obyczajowy prod. rum.
16.20 „Kaszyce" — reportaż
16.30 Festiwal teatru ulicznego
17.00 „Przygody naszych ulubieńców" — filmy animowane
17.45 „Kurs pływania na desce"
18.00 Kronika
18.30 Adam Mickiewicz — „Pan Tadeusz" — Księga XI
19.30 Festiwal muzyki — Łańcut '87
20.20 Studio Sport
21.30 Panorama dnia
21.45 Filmy Stanisława Barej — „Poszukiwany — poszukiwana"
23.10 Wieczorne wiadomości

NIEDZIELA — 23 VIII

PROGRAM I

7.45 „Po gospodarsku"
8.15 „Tydzień" — magazyn rolniczy
8.55 Program dnia
9.00 Kino Teleferii
10.15 „Horyzont — 2000"
10.30 DT — wiadomości
10.35 „Serce smoka" (1) — „Pamięć przeszłości"
11.25 „Spotkanie z Turcją"
11.45 „Siedem anten"
12.30 „Kraj za miastem"
13.00 Niedziela w Świnoujściu
13.40 Telewizyjny koncert życzeń
14.25 Salvador Dali?
14.45 „W rytmie disco" (4) — serial obycz.
16.10 „Biecz"
16.40 „Prezydenci" — Tomasz Jefferson (1801—1809)
17.15 Teleexpress
17.30 Wayne Sleep i inni — pr. rozr.
18.20 „Antena"
19.00 Wieczorynka
19.30 Dziennik
20.00 „Blisko, coraz bliżej" (18) — serial TP
21.15 „Pegaz"
21.55 „Klub międzynarodowy"
22.25 „Loża"
22.40 Sportowa niedziela
23.10 DT — wiadomości

PROGRAM II

9.30 „Przegląd tygodnia" (dla niesłyszących)
10.05 Film dla niesłyszących: „Blisko, coraz bliżej" (18)
13.00 Lokalny koncert życzeń
13.25 „Barwy łodzistki"
14.00 „Tajemnice starego Gdańska"
14.30 „Jutro poniedziałek"
14.50 „Zwierzęta świata" — „Głębie poczłowe"
15.30 „Widoteka"
16.15 Kalejdoskop filmowy — „Kino-Oko"
17.20 Fantazja na smyczki — „Przeboje na lato"
18.00 Festiwal teatru ulicznego
18.20 Sportowy remanent
19.00 „Goście Daniela Passenta"
19.30 Sceneje operowe Barbary Zagórzanki
20.00 Autoświat — reportaż
20.20 Studio Sport
21.30 Panorama dnia
21.45 „Mazarin" (2) — serial hist.
22.40 „Studio Dni Kultury Morskiej"
22.55 „Portrety artystów"
23.25 Wieczorne wiadomości
23.30 „Ojczyzna — polszczyzna"

PONIEDZIAŁEK — 24 VIII

PROGRAM I

16.55 Program dnia
17.00 Wakacje
17.15 Teleexpress
17.30 Wakacje oraz film z serii „Miss" (5)
18.50 Dobranoc
19.00 Echa stadionów
19.30 Dziennik
20.00 William Szekspir: „Otello" cz. 1
21.45 Żniwa '87
21.55 Okrągły stół — publ. ekonomiczna
22.40 DT — komentarze

PROGRAM II

17.55 Program dnia
18.00 Kronika
18.30 „Sponsor" — teleturniej
19.00 „102" — magazyn kult.-mux.
19.30 „Jak uprawiać sport"
20.00 Wieczór rumuński w TVP
21.00 „Świerszcz za kominem"
21.30 Panorama dnia
21.45 „Walczący samotnik" (3) — film dok.
22.35 Wieczorne wiadomości

WTOREK — 25 VIII

PROGRAM I

9.00 Teleferie
9.35 Kino Teleferii: „Kapitan Nemo" (9 — ostatni)
10.00 DT — wiadomości
10.10 Film dla II zmiany: „Pod wiatr" (6)
16.35 Program dnia
16.40 „Telewizyjny Informator Wydawniczy"
17.00 Wakacje
17.15 Teleexpress
17.30 Wakacje
18.50 Dobranoc
19.00 „Spory"
19.30 Dziennik
20.00 „Pod wiatr" (8) — serial austr.
20.50 Konferencja prasowa rzecznika rządu
21.05 „W cieniu lata"
21.20 Polityka, politycy — Raul Alfonsin
21.50 „Spór o ideał Polaka"
22.10 Studio Sport
22.40 DT — komentarze

PROGRAM II

17.55 Program dnia
18.00 Kronika
18.30 „Ryzyko" — teleturniej
19.00 „102" — magazyn kult.-mux.
19.30 „Poznaj swój kraj" — Beskid Żywiecki
20.00 „W stronę gór"
20.20 Atlas nadziei — oceany
21.10 „Polak na wakacjach"
21.30 Panorama dnia
21.45 Filmy Oldricha Lipsky'ego — „Jak się robi komedie"
23.15 Wieczorne wiadomości

ŚRODA — 26 VIII

PROGRAM I

9.00 Teleferie: „Krąg"
9.35 Kino Teleferii

10.00 DT — wiadomości
10.10 Film dla II zmiany: „Romans z intruzem"
16.45 Program dnia
16.50 Lo owanie Express Lotka i Super Lotka
17.00 Wakacje
17.15 Teleexpress
17.30 Wakacje
18.50 Dobranoc
19.00 Trybuna sejmowa
19.30 Dziennik
20.00 „Romans z intruzem" — polski film fab.
21.30 „Żniwa '87"
21.40 „Zawsze po 21-szej"
22.30 „W cieniu lata"
22.40 DT — komentarze

PROGRAM II

17.55 Program dnia
18.00 Kronika
18.30 „Spotkanie z Amorem"
19.00 „102" — magazyn kult.-mux.
19.30 „Poznaj swój kraj"
20.00 „Na mnie możesz liczyć" — program publ.
20.15 „Dookoła świata" — W Papui
20.45 Atlas nadziei
21.05 „Miodowa wieść" — reportaż
21.30 Panorama dnia
21.45 „Non stop kolor" AC/DC — film prod. ang.

CZWARTEK — 27 VIII

PROGRAM I

9.00 Kino Teleferii: „Agnieszka"
10.00 DT — wiadomości
10.10 Film dla II zmiany: „Ślady wilczych zębów"
16.10 Rolniczy film oświatowy
16.30 Program dnia
16.35 „Poligon"
17.00 Wakacje
17.15 Teleexpress
17.30 Wakacje
18.50 Dobranoc
19.00 „Telepostkania"
19.30 Dziennik
20.00 „Ślady wilczych zębów" — film fab. prod. polsko-czech.
21.40 „Teraz"
22.10 Telewizyjny film dok.
23.35 Losowanie loterii pieniężnej
22.40 DT — komentarze

PROGRAM II

17.55 Program dnia
18.00 Kronika
18.30 Magazyn sportowy „As"
19.00 „102" — magazyn kult.-mux.
19.30 Poznaj swój kraj
20.00 Dawna muzyka w Starym Sączu
20.45 „Jaskiniowcy"
21.15 „Kamera reporterów"
21.30 Panorama dnia
21.45 „997" — program publ.
22.30 „Ciężarowcy"
23.05 Wieczorne wiadomości

Bezinteresowna zawiść

„Polski kocioł w piekle: wiadomo, że diabli nie muszą go specjalnie pilnować. Wiedzą bowiem, że nikt zeń nie ucieknie. Wspinających się ku górze, zaraz ściągną inni w dół.

Zazdrość i zawiść. Psycholog mówi, że zazdrość to tylko to, co czujemy. W zawiść przeradza się dopiero wtedy kiedy staje się motorem czynów szkodliwych. Zazdrośnik męczy siebie, innym na ogół biedy nie napyta. Zawistny, czyli ten, którego postępowaniem kieruje zazdrość wyolbrzymiona, często bywa naprawdę groźny dla otoczenia.

Przytoczony wyżej kawał z... taaaką brodą zdaje się wskazywać na to, że skłonni jesteśmy dość powszechnie uważać, iż bezinteresowna zawiść to polska specjalność. Z takim stawianiem sprawy nie zgadza się bardzo wielu psychologów. Powiadają oni mianowicie, że zbyt łatwo zbyt wiele niekorzystnych zjawisk społecznych usiłujemy wytłumaczyć cechami charakteru Polaków

Skąd się zatem bierze zawiść? Najczęściej jest to rezultat pewnego sposobu wychowania. Przeważa u nas, niestety, model wychowawcy „bądź lepszy od innych", a nie — „rób dobrze to, co robisz". Część dzieci ruszą więc do wyścigu z rówieśnikami, aby ich wyprzedzić, zdystansować, pokonać. Część pozostaje w tyle z przekonaniem, że „ja jestem i zawsze będę, ten gorszy". Niektórzy z nich mogą potem w sobie pewną gotowość do zazdrości, za którą kryje się niepewność, poczucie mniejszej wartości. Natomiast ci, u których w procesie wychowania udało się wyzwolić tak zwaną „siłę przebicia", będą później szli do przodu na zasadzie rywalizacji, będą przeszkadzać innym, aby ich zdystansować.

Kwestionując tezę, iż Polacy „z natury rzeczy" są zazdrośni czy wręcz zawistni, psychologowie nie ukrywają przy tym, że powstawaniu takich uczuć sprzyja stosunkowo niska w naszym społeczeństwie gotowość do działań zespołowych w życiu zawodowym. Polacy potrafią wspaniale spędzać razem czas wolny, świetnie się wspólnie bawią, w pracy są natomiast często „razem, ale osobno".

Kiedy w jakimś środowisku prowadzona jest gra „moje lepsze niż twoje", wówczas zawistni mogą nam rzeczywiście zaszkodzić. Bo istotą owej bezinteresownej zawiści jest nastawienie nie na tworzenie, lecz na śledzenie, czy ktoś nie wychodzi naprzód.

Przy dobrej organizacji pracy ludzie powinni odczuwać zarówno moralnie, jak i finansowo, że ich indywidualne sukcesy są częścią osiągnięć całej załogi. Ale gdy w zespole panuje atmosfera gry, w której ktoś wygrywa kosztem kogoś, zawiść zbiera swoje żniwo. Indywidualny sukces nie musi być wynikiem rywalizacji z otoczeniem. Sukces to jest przecież osiągnięcie mierzone własnymi możliwościami i stawianymi sobie wymaganiami. Człowiek powinien widzieć, że to osiągnięcie zostało dostrzeżone, ocenione i stanowi konkretny wkład do „ogólnej sumy dobra".

JAN SKALNY

WANDA CZVBERNAT

RECEPISY NA DOBRE JADŁO

Zoprozka

Woda, szczypta soli, łyżka mąki.

Na gotującą się wodę wlać uprażoną na złoto zasmażkę z łyżki mąki, rozrobionej zimną wodą. Zagotować. (Taką zupkę ubogich można urozmaicić kminkiem, grzybkiem, cebulą masłem, dodać cebulki, albo czosneczku. Nie będzie to już jednak prawdziwa zoprozka — kumornica.) Podawać z chlebem czarnym, pokruszonym na masełeczkę.

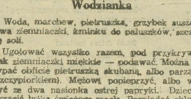

Wodzianka

Woda, marchew, pietruszka, grzybek suszony, dwa ziemniaczki, kminku do paluszków, szczypta soli.

Ugotować wszystko razem, pod przykrywką. Jak ziemniaczki miękkie — podawać. Można posypać obficie pietruszką skubaną, albo parzątką (szczypiorkiem). Mętlew posypczyć, albo włożyć ze dwa nasionka ostrej papryki. Dzieciom okrasić łyżką świeżego masła. Przyjadać chlebosiem razowym.

Gąlas

Dwie garści śliwek węgierek, woda, sól, cukier.

Półtora litra wody, albo i dwa litry, ugotować ze świeżymi śliwkami (mogą być z kompotu). Odrobinkę posolić, pocukrzyć do smaku. Podawać z ziemniakami a wody. Tą zupka owocowa, zwana gałasem, była pospolitym jedzonkiem na Podhalu w czasach „kie trowka była po kostki, a bóyda po ocy". Jak śliwki były dojrzałe, to nawet cukrzyć nie trzeba było. Teraz można taką zupkę przetrzeć przez cedzak, albo sitko, zaprawić śmietaną z mąką ziemniaczaną, albo pszenną, omaścić masłem, wrzucić trochę goździków albo imbiru. Wystarczy kupić słoik węgierek w sklepie GS. Nie tuczy!

Grulanka (ocydzorka)

Trzy kromeczki razowego żytniego chleba pokrojonego w kostecczkę zrumenić na patelni w odrobinie łakczej tłuszcza albo bez tłuszczu. Zalać na talerzach wodą z odcedzonych ziemniaków. Najlepiej odcedzać bezpośrednio na talerze. Kołeczinke mojaj Jeśli jeśtes ocrgrulinka tak jak ja — to posyp tylko parzątką i jedz na zdrowie. Jak ci nie zależy na figurce, to dodaj na każdy talerz (na swej najwięczej) kawałek masła, łyche śmietany albo śmietanki, popieprz porządnie, dołóż grzanek zrumienionych na obfitym tłuszczu. Taka zupa jest najszybsza, a o wiele zdrowsza i smaczniejsza niż niejedna z torebki „błyskawicznia".

Barszcz czerwony z jabłuszkami

6 kwaskowatych jabłek, 2 litry wody, łyżka masła, 2 buraczki ćwikłowe, kminek i inne przyprawy, cebula, czosnek.

Posiekać jabłka i buraczki, ugotować do miękkości z łyżką masła. Przyprawić, zasmażyć (odrobinę masła, zasmażka biała). Można usunąć buraczki, jabłuszka przetrzeć przez sitko, ale niekoniecznie. Jeść z ziemniakami z wody.

Barszcz czerwony na serwatce

Kostkę szpikową (nie musi być) ugotować w wywarze jarzynowym z dwoma buraczkami. Zalać serwatką. Dodać łyżkę śmietany z mąką, albo całą kwaśnicę, jak kto lubi. Co cieszy i nie tuczy jednego, tuczy drugiego.

Taki sam barszczyk można przyrządzić na kwaśnicy. Zaślepcie to niezdrowy ocet, zdobstępny kwasek cytrynowy i barszczyk kiszony, który w zimnych mieszkaniach nie chce się zakwasić.

Barszcz biały na serwatce

Kawałek kiełbasy, kilka ziemniaków, cebulka przyniecona, ząbek czosnku, kminek, woda, serwatka, sól, śmietana, mąka.

Ziemniaczki pokroić w kostkę, kiełbasę w plasterki. Gotować razem do miękkości z kminkiem, cebulką, czosnkiem. Zalać serwatką, pogotować, podprawić mąką i śmietaną. Barszczyk ma być zawiesisty i pachnący kiełbaską. Można zaprawić samą mąką i dodać kiberzyka, albo maggi. Nie trzeba przetcowywać, że barszczyk ten przyrządzony na kostce od schabu (grzebienia) zasługuje wszelkie kłótnie i niesnaski rodzinne. Każdy mężczyzna ma przy sobie taki mały nożyk, którym te kostki obkrawa, wycina, obskubuje i mruczy z zadowolenia. (Pan, nie nożyk).

Zamiast kurzyć papierosa (przed telewizorem) żuj płonki! (suszone jabłka, śliwki, gruszki). Dla dzieci i starców moczone w letniej wodzie.

Bobowianka

Młody bób, kiedy jeszcze nie ma „łyzin", gotujemy w dość dużej ilości wody. Pod koniec rumienimy cebulkę na tłuszczu (mogą być skwarki) i wlewamy do bobu. Zmieszać z ziemniaczkami, pokrojonymi w kostecczkę i ugotowanymi w małej ilości wody. (Woda z ziemniaczków nie odlewać. Najlepiej ugotować wszystko razem, tylko pamiętać, że bób się gotuje trochę dłużej). Bób, ziemniaczki, ale ludzie, którzy to spożywają, szczęściem masszą i radością przegrzywają. Polecam na lato w altance! W zimie może być bób z puszki.

Karpielanka

W czasach, kiedy karpiele były słodkie, nie wchłaniały w siebie nawozów sztucznych ani środków ochrony roślin, robiliśmy sobie taką zupkę: pokrojonego w kostecczkę karpiela (brutkiew) gotowało się w słodkim mleku. Na koniec zasmażało się łyżką masła i mąki (białą zasmażka). Dodawało cukru i soli. Dziś już nie ma takich pysznych potraw. Albo nie ma tego smaku! Tej radości przyrządzania jedzenia?...

Zupa ze świeżej kapusty z grzybami

Grzybki zebrane własnoręcznie (z wyjątkiem muchomorów) podsmażyć lekko na masełku z cebulkami (2 duże), dodać posiekaną grubo kapkustę białą (pół główki), ze trzy ziemniaki pokrojone w kostecczkę. Zalać wodą lub wywarem z kostek cielęcych. Gdy ziemniaki i kapusta będą prawie miękkie dodać dwa kwaśne jabłka. Przyprawić do smaku.

Zupa ziemniaczana zasmażana z pokrzywką i kurdybankiem

Kilka ziemniaków, np. sześć, duża marchewka, pietruszka, grzybek suszony, albo świeży, cebula przyprzeczona, ze dwa ziarnka pieprzu, młode pędy pokrzywy, kilka listków kurdybanku, pasek słoniny, mąki łyżka — dwie.

Ziemniaki pokroić w kostecczkę, marchewkę i pietruszkę w plasterki. Gotować razem do miękkości. Zrobić zasmażkę, nawalając skwarki. Na koniec dodać pokrzywę i kurdybanek dokładnie obmyte, nie krojone, tylko same czubeczki, pędy. Przyprawić solą, pieprzem. Na talerz wsypać skwarki. Jeśli dodamy do gotowania kawałek kury, albo resztkę mięsa z rosołu, danie będzie furmańskie!

Zupa „nasza"

Każdy miłujący życie może sobie taką zupkę przyrządzić. Po skromnym przyjęciu jarskim zostało kilka grzybków (nie zawracających), kilka ogóreczków (nie napoczętych), 2 marchewki, 1 pietruszka, 2 duże cebule, kawałek kapusty włoskiej, pory, kilka pomidor. Marchewkę, cebulkę i pietruszkę drobniutko posiekać, albo zetrzeć na tarce jarzynowej. Udusić na pół kostki masła, albo margaryny. Dodać z 10 maluteńkich ziemniaczków, kminku, pieprzu ziołowego, grzybki, ogóreczki, kapustkę włoską i co tam jeszcze mamy. Chwilę podusić, podlać wodą. Jak wszystko miękkie, zalać posolem. Można podprawić mąką. Jeść z grzankami z czerstwego chleba.

Żur z grzybów kiszonych

Ze wszystkich kiszonych grzybów najładniej pachną rydzyki. Wyciągamy sobie dziekę z cieniutkich deseczek, pełną grzybków kiszonych jesienią. Możemy sobie wziąć kilkanaście urodnych kapeluszy, pokroić na ćwiartki, ugotować z cebulką i ząbkiem czosnku. Podprawić śmietaną z mąką. Jak za mało kwaśne — odrobinę soku, czereczkiem, prosto z dzieżki. Do tego ziemniaki utłuczone ze skwarkami... Czasem się nam trafi kilka zdrowych rydzów, na jesień pełnie, albo od przyjaciela grzybiarza. Nie wiemy co z nimi zrobić z radości: usmażyć, na surowo zjeść? Taka zupka jak wyżej, tylko z odrobiną kwaska cytrynowego i kwaterką porządnej śmietany, z ćwiartecczami rydzyków, koperkiem zielonym, dobra by była, co?

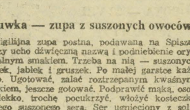

Żuwka — zupa z suszonych owoców

Wigilijna zupa postna, podawana na Spiszu, cieszy się dźwięczną nazwą i podniebienie oryginalnym smakiem. Trzeba na nią — suszonych śliwek, jabłek i gruszek. Po małej garstce każdego. Ugotować, zalać roztrzepanym kwaśnym mlekiem, jeszcze gotować. Podprawić mąką, osolić lekko, trochę pocukrzyć, włożyć kostecczki białego suszonego sera. Ser umieciony z solą i kminkiem suszyło się dawniej za piecem. Utormować zgrabnie w woreczku sernym, na drewnianych podkładkach.

Zupa chrzanowa

Mało rozpowszechniona, a doskonała zupa, do której warto łyżkę włożyć. Podaje się na Wielkanoc na gorąco i na zimno. Nazywa się bardzo ładnie — krzonowina, krzonówka, żółć, sodra, albo święcelina. Oto kilka przepisów na jej odmiany, które najbardziej smakują moim znajomym:

Krzonówka: kości wieprzowe (obrośnięte), kawałki różnych mięsek, pasek boczku wędzonego, kawałek kiełbasy — ugotować z czosnkiem, cebulką i kminkiem oraz kilku wiórkami świeżego chrzanu (może być średnia łasczka chrzanu). Gdy mięska miękkie, zaprawić mąką i śmietaną. Zagotować. Odstawić i wsypać pół szklanki tartego, surowego chrzanu. Na talerze nakładać jajka na twardo, ziemniaki z wody, posiekać, dołożyć mięska i kawałki boczku, zalać zupkę. Śmietana powinna być tłusta i dość kwaśna. Zupka zawiesista, pachnąca. Przepis mniej więcej na 2 litry płynu.

Żółć — tak nazywają zupę świąteczną na Orawie: przyrządza się ją podobnie jak poprzednią, ale zamiast śmietany z mąką dodaje bolita rozmieszane z kwaśkiem cytrynowym i więcej chrzanu. Powstaje żółta zupa, ostra i pachnąca. Koniecznie spróbować!

Sodra, znana na Nizinnym Podhalu i w okolicach Nowego Sącza: wędzone mięso wieprzowe, kiełbasę swojską, chudy boczek, szynkę wędzoną, jajka na twardo — pokroić w kostkę. Pół szklanki śmietany, pół szklanki mleka kwaśnego i pół szklanki tartego chrzanu rozterlikać rogalka (rozbełtać), dodając odrobinę cukru i soli do smaku. Wymieszać, podawać w glinianej misce, na zimno, z razowym chlebem. Na Spiszu ta potrawa nazywa się świecelina, a zaprawiana bywa samym kwaśnym mlekiem bez śmietany